



ODGŁOSY

► RYZYKO I SUKCES — Kazimierz Skibicki ► ZEMSTA — Lucjusz Włodkowski ► ZA CZTERY DNI KONIEC ŚWIATA — Arthur C. Clarke ► A NAM SIĘ MARZY QUADROFONIA — Mariusz A. Jakubowski ► PÓKI CO MOŻE WARTO...? — Bogdan Krakowian ► TRZECIA TWARZ — Andrzej Makowiecki ► JADWIGA WAJSÓWNA — Jarosław Nieciecki ► WITAMINA ASPIRACJI — Krzysztof Pogorzalec ► WENEROFobia FILMOWA — Jan Gontal ► WIĘZIENIE — Georges Simenon ► LISTY ► POLEMIKI ► RECENZJE ► REPORTAŻE ► SEX W LITERATURZE ►



FOTOREPORTAŻ:

Fot. Włodzimierz Parys

JERZY WILMAŃSKI

WIOSNA NAD KRAKOWEM

Pa co pojechałem do Krakowa? Żeby na twardych ławkach hall „Wisły” siedzieć do godzin rannych? Żeby palić po osiemdziesiąt papierosów, popijając je ciepłą lurą „Pepsi-Cola”?

Tak, to wszystko po to, ale prawda jest jeszcze inna. Pojechałem do Krakowa na XI Festiwal Piosenki i Piosenkarzy Studenckich, dlatego, że piętnaście lat temu brałem udział w bodajże pierwszych ogólnopolskich juvenaliach zwanych — jeśli dobrze pamiętam — Festiwalem Kultury Studenckiej. Więc chciałem sobie skonfrontować tamte dni sprzed piętnastu lat z tą wiosną roku siedemdziesiątego czwartego.

2.

Otwieram „Odgłosy” rocznik 1959 i z moich ówczesnych notatek, z fotografii Wiesława Machajko, próbuję stworzyć obraz tamtej wiosny. Tłoczyliśmy się wówczas po jakichś zbiorowych pokojach w akademikach, jedliśmy kluski na mleku w jakichś podłowych barach, biegaliśmy z wywieszonym językiem od Piwnicy pod Baranami do „Cyrku Tralabomba” Rodziny Afanasjew — od Teatru 38 do jakichś klubów i salek, gdzie czytaliśmy wiersze... Oglądaliśmy studenckie obrazy na wystawie malarstwa szkół artystycznych... Dziś sobie uświadamiam, że oglądaliśmy studenckie obrazy dzisiejszych profesorów tych uczelni.

Czy po tę świadomość pojechałem tej wiosny do Krakowa? Czy ta



Fot. Włodzimierz Parys

podróż była mi potrzebna, aby sobie uzmysłowić sprawy oczywiste i naturalne jak upływ czasu?

A może pojechałem tam po to, aby spróbować odnaleźć coś, czego nie odważy się nazwać, bo już przeminęło, bo wiem, że nie odnajdę...

Może pojechałem po to, aby w samym środku koncertu festiwalowego wstać z twardej ławki hall „Wisły” i pójść, zostawiając za sobą rozgwar tej sali, po prostu dlatego, że zrozumiałem upływ piętnastu długich lat...

Kiedy przed laty nową jakość współczesnego teatru tworzyły amatorskie scenki studenckie, animatorami owego ruchu, który był wówczas ewenementem na europejską skalę byli humaniści. Młodzi polniści, aktorzy, młodzi muzycy, plastycy...

Dziś coraz więcej w owym studenckim ruchu artystycznym przy-

Dalszy ciąg na str 10

Zemsta, ale nie spór o mur graniczny. U podłoża tej zemsty też leży spór, ale spór o życiową postawę, o stosunek jednostki do społeczeństwa. Jednostka nie chciała zaaprobować społecznych norm, obowiązujących w 1974 roku, społeczeństwo nie mogło uznać postawy jednostki. Nieunikniony w takich sytuacjach konflikt

LUCJUSZ WŁODKOWSKI ZEMSTA

między społeczeństwem a jednostką doprowadził do ostrych spięć. I w głowie jednostki narodziła się idea z e m s t y. Miała to być zemsta niecodzienna.

NA MAPIE MIASTA

są rejony, gdzie gromadzą się młodzi ludzie, dysponujący nadmiarem wol-

Dalszy ciąg na str. 6

PREZENTACJE

JANUSZ MARCINKOWSKI

— Jak Pan ocenia szanse Polaków na mistrzostwach świata?

— Kto to może przewidzieć? Jedna minuta może zdecydować o wygranej lub przegranej, jeden błąd.

— Ale Pan, jako specjalista, musi mieć swoje zdanie.

Dalszy ciąg na str. 3

ARTHUR C. CLARKE

ZA CZTERY DNI KONIEC ŚWIATA

— Zamówienie niecodzienne. — Doktor Wagner starał się mówić z należytą powagą. — O ile wiem, jesteśmy pierwszym przedsiębiorstwem, do którego zwrócono się z prośbą o dostarczenie automatycznej maszyny leżącej dla tybetańskiego klasztoru. Proszę mi wybaczyć eklektyczność, lecz trudno doprawdy wyobrazić sobie, do czego...e... pańskiej instytucji potrzebna jest taka maszyna. Czy może mi pan wyjaśnić co zamierzacie z nią robić?

— Z przyjemnością — odpowiedział lama, poprawiając fałdkę jedwabnej kapy i niespiesznie chowając suwak logarytmiczny, za pomocą którego przeprowadzał finansowe obliczenia. — Wasza elektroniczna maszyna „Model pięć” wykona każdą matematyczną operację na liczbach, do ułamków dziesiętnych włącznie. Do rozwiązania naszego zadania potrzebne są jednak nie cyfry, lecz litery. Przeróbicie wyjściowe kanały zgodnie z naszym życzeniem, a maszyna będzie wypisywać słowa, a nie liczby.

— Nie całkiem rozumiem... — Chodzi tu o problem, nad którym pracujemy już trzy stulecia, od chwili założenia naszego klasztoru. Człowiekowi o pańskiej mentalności trudno to pojąć, ale mam nadzieję, że wysłucha mnie pan, nie uprzedzając się z góry.

— Oczywiście. — W istocie jest to bardzo proste. Sporządzamy rejestr, w którym znajdują się wszystkie potencjalne imiona boga.

— Proszę wybaczyć...

Dalszy ciąg na str. 4



Fot. Archiwum



Fot. Archiwum

WITAMINA ASPIRACJI

Dyskusja szła ostro. „Strzelano” do siebie argumentami coraz cięższego kalibru. Kiedy jedna ze stron powołując się na autorytet znanego publicysty, stwierdziła — cytując jego słowa:

„Trzeba sobie uprzytomnić przede wszystkim fakt materialny, że szybko przemysłowienie kraju, to jest budowanie możliwie największej ilości fabryk, kopalń i innych zakładów, a jednocześnie modernizowanie dawnych”, co zmuszało nas, by jak największą część dochodu społecznego obrócić na ten cel, a tym samym jak najmniejszą na konsumpcję ludności, poza jej podstawowymi potrzebami — to adwersarze wysuwali pytanie postawione przez tego samego Aleksandra Bocheńskiego: „Czy konsekwencją tego musi być niezmienna postawa... ascetyczna, gardząca już nie tylko luksusem, ale każdym postępem w mieszkaniu, urządzeniu, w konsumpcji? Nie, nie sądzę, żeby model ascetyczny życia musiał być w socjalizmie na tym stopniu uprzemysłowienia, jaki mamy w roku 1970, powszechnie obowiązujący”.

Niezaprzeczalnie podajemy ściśle rok, w którym toczyła się owa bynajmniej nie wyimaginowana dysputa, gdyż niebawem czas miał dać i to bardzo precyzyjną odpowiedź po czyjej stronie była racja. Oczywiście w tym miejscu można by przytoczyć wiele wskazań, ekonomiczno-społecznych faktów, zjawisk, które dają o sobie znać — ze szczególną ostrością — w roku właśnie 1970, pod postacią ostrych napięć gospodarczo-społecznych. Można np. dla przykładu powiedzieć, że w ostatnich minionych trzech pięcioletkach stale wzrastał udział procentowy inwestycji w dochodzie narodowym — z 15,4 proc., po przez 18,3 do 21,6 procentu, przy czym nie od rzeczy będzie tutaj dodać, że z różnych powodów m. in. wydłużającego się cyklu realizacji nowych inwestycji, dużej ich kapitałochłonności, mała równocześnie sam narodowy dochód.

O innej nieprawidłowości w ówczesnie prowadzonej polityce inwestycyjnej świadczyło i to, że mimo tak poważnego i stale wzrastającego obciążenia dochodu narodowego inwestycjami na rozwój przemysłu, jedna z jego dziedzin — przemysł maszynowy, wytwarzający około 30 proc. całej naszej produkcji globalnej nie był w stanie na należyty poziomie

jego najbliższej rodzinie. Nie mniej silnie działa skłonność socjalna popychająca człowieka do działania takiego, które by dawało poczucie spójności ze zbiorowiskiem, poczucie spełnienia obowiązku... Trudno, aby człowiek był szczęśliwy, jeśli jedna i druga z tych skłonności nie znajduje żadnego miejsca do wyżycia”.

Jeśli tak podejrzamy do problemu stałego wzrostu poziomu konsumpcji, to program nakreślony przez partię na jej VI Zjeździe, przewidujący m.in. wzrost realnych płac w pięcioletciu o 17-18 proc., wybudowanie ok. 1,075 tys. izb mieszkalnych, dynamiczny, ale i harmonijny rozwój przemysłu gwarantujący odpowiednią rangę producentom wyrobów konsumpcyjnych — jawi się i musi być rozumiany jako program wyzwalania wszystkich sił witalnych narodu, możliwości naszej ekonomii, budowania zachęcającej dla każdego z nas, wyraźnie określonej w czasie, perspektywy. Prof. Jan Szczepański w swojej książce „Rozważania o Rzeczypospolitej” stwierdza m. in.:

„Zróżnicowanie widzę w wykończaniu ludzkich aspiracji, ambicji i dążeń do podniesienia dobrobytu. Doświadczenia ostatnich tygodni (było to pisane na początku 1971 roku — dopis. red.) pokazały, jak wiele można działać, gdy się do obywateli przemówi językiem prostym i ludzkim, bez wielkiej retoryki przemiennej. Naturalnie, ten nowy model, sposób, a nawet stosunek do problemu kształtowania poziomu konsumpcji w naszym kraju powstał stopniowo. I inaczej być nie może, tak być musi, gdyż trudno sobie wyobrazić, by tak głębokie procesy ekonomiczno-społeczne, a nawet polityczne mogły się urzeczywistnić za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Chodzi o rzeczywistość o środki, ale jak jest to w gruncie rzeczy problem dla nas nowy, który musimy jednak rozgrzać, może świadcząca o tym, że przy okazji wypadnie nam nieco zmodyfikować i unowocześnić interpretację takich prawnych przedsięwzięć, jak własność osobista i własność indywidualna...”

Wiadomo już jednak z całą pewnością, że nasz model konsumpcji nie może być i nie będzie modelem „kielbasiano-szweterkowym”, choć oczywiście, odpowied-

nie uwzględni i te potrzeby naszego społeczeństwa, bowiem i poziom... zużycia pończoch przypadających na „statystyczną głowę” w tym przypadku raczej na nogi wiele mówi o zamożności obywateli.

„Ale — jaki to jest w takim razie model? Nieco światła może chyba rzucić na ten problem następujące obliczenie będące równocześnie analizą ekonomiczną skutków odpowiednio zaprogramowanej działalności: jak wiadomo przeciętny koszt miejsca pracy w przemyśle waha się obecnie w granicach 400-500 tysięcy złotych, podczas gdy np. w sferze usług łącznie z oświatą i służbą zdrowia nie przekracza kwoty 100 tys. zł. Wiemy równocześnie, że w najbliższym pięcioletciu trzeba będzie w naszym kraju stworzyć miejsca pracy — poza rolnictwem — dla około 1,900 tysięcy osób. Jest to stwierdzenie ważne, gdyż, gdyby z tej liczby udało się nam zatrudnić w sferze usług około 800 tys. osób — co z punktu widzenia potrzeb jest w pełni uzasadnione — to ta operacja pochłonie ok. 80 miliardów złotych. Stosunkowo mało jeśli się weźmie pod uwagę wielkość przyrostu zatrudnienia. W rachunku tym ważne jest jeszcze co innego, takie bowiem posunięcie pozwala „zwolnić” na cele rozwoju przemysłu konsumpcyjnego sumę ok. 120 mld złotych i w ten sposób przyspieszyć rozwój w tej gałęzi wytwórczości, poważnie powiększyć podaż rynkową poszukiwanych, stosunkowo tanich środków spożywczych pochodzenia przemysłowego, przy okazji przyczynić się do zmiany struktury konsumpcji w naszym kraju — na bardziej prawidłową.

Konsumpcja nie musi oznaczać przejadania. Właściwy wybór wzrostu spożycia stanowi siłę napędową zarówno dla poszczególnych jednostek, wykorzystania ich ambicji i naturalnych dążeń, katalizator dla dobrej roboty, jak i dla całych przemysłów — w planowym podsycając ich rozwój.

Tak może być swoista witamina. Witamina aspiracji.

Wiadomo już jednak z całą pewnością, że nasz model konsumpcji nie może być i nie będzie modelem „kielbasiano-szweterkowym”, choć oczywiście, odpowied-

nie uwzględni i te potrzeby naszego społeczeństwa, bowiem i poziom... zużycia pończoch przypadających na „statystyczną głowę” w tym przypadku raczej na nogi wiele mówi o zamożności obywateli.

„Ale — jaki to jest w takim razie model? Nieco światła może chyba rzucić na ten problem następujące obliczenie będące równocześnie analizą ekonomiczną skutków odpowiednio zaprogramowanej działalności: jak wiadomo przeciętny koszt miejsca pracy w przemyśle waha się obecnie w granicach 400-500 tysięcy złotych, podczas gdy np. w sferze usług łącznie z oświatą i służbą zdrowia nie przekracza kwoty 100 tys. zł. Wiemy równocześnie, że w najbliższym pięcioletciu trzeba będzie w naszym kraju stworzyć miejsca pracy — poza rolnictwem — dla około 1,900 tysięcy osób. Jest to stwierdzenie ważne, gdyż, gdyby z tej liczby udało się nam zatrudnić w sferze usług około 800 tys. osób — co z punktu widzenia potrzeb jest w pełni uzasadnione — to ta operacja pochłonie ok. 80 miliardów złotych. Stosunkowo mało jeśli się weźmie pod uwagę wielkość przyrostu zatrudnienia. W rachunku tym ważne jest jeszcze co innego, takie bowiem posunięcie pozwala „zwolnić” na cele rozwoju przemysłu konsumpcyjnego sumę ok. 120 mld złotych i w ten sposób przyspieszyć rozwój w tej gałęzi wytwórczości, poważnie powiększyć podaż rynkową poszukiwanych, stosunkowo tanich środków spożywczych pochodzenia przemysłowego, przy okazji przyczynić się do zmiany struktury konsumpcji w naszym kraju — na bardziej prawidłową.

Konsumpcja nie musi oznaczać przejadania. Właściwy wybór wzrostu spożycia stanowi siłę napędową zarówno dla poszczególnych jednostek, wykorzystania ich ambicji i naturalnych dążeń, katalizator dla dobrej roboty, jak i dla całych przemysłów — w planowym podsycając ich rozwój.

Tak może być swoista witamina. Witamina aspiracji.

Wiadomo już jednak z całą pewnością, że nasz model konsumpcji nie może być i nie będzie modelem „kielbasiano-szweterkowym”, choć oczywiście, odpowied-

KRYSZTOF POGORZELEC

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

Tradycja nakazuje, aby z okazji świąt składać sobie życzenia. Z tej też okazji gazety i pisma — przygotowując na święta swoje numery o nieco lżejszej treści — życzą Czytelnikom SPOKOJNEGO I ZDROWEGO WYPOCZYNIKU. Co niniejszym również czynimy, aby nie tylko tradycji stało się zadość. Życzymy naszym Czytelnikom wszystkiego najlepszego, zdrowia i pomyślności, bowiem im służymy, dla nich piszemy, pisać i służyć pragniemy nadal.

Te kilka dni wycieczki: dwa świąteczne i wolna, bo przez niektórych wcześniej odpracowana sobota — poprzedza kilka lub kilkanaście dni wyjątkowej pracy domowej. W kalendarzu i na świecie już wiosna, stąd i wiosenne porządki: mycie okien, odświeżanie ścian, wymiatanie zimowych śmieci z kątów. Pracy dużo.

Można będzie zato usiąść przy świątecznym stole i pomarzyć sobie o wakacjach, zastanowić się gdzie spędzić urlop w tym roku, jeśli to już nie zbyt późno na takie plany. Pomarzyć nigdy nie zaszkodzi, gdyby ludzie nie mieli marzeń, nawet takich „przyziemnych”, to świat byłby smutny i nie rozwijał się. Ale pomarzyć nie wystarczy.

Domyślam się, że będziemy też przy świątecznym stole trochę narzekali. A to, że zaopatrzenie w tym roku było nie takie, jakiego spodziewaliśmy się, a to, że z usługami u nas nie najlepiej, że komunikacja — pozał się boże, u Kowalskiego w fabryce — bałagan i dyrektora znów zmieniają, a Malinowski robi karierę.

Dobrze jest pomarzyć, a i ponarzekać nie zaszkodzi, jeśli jedno i drugie do czegoś prowadzi, jeśli jedno i drugie może stać się bodźcem do działania, przecież i handel mamy nie najlepší. Jak człowiek coś chce kupić to nogi sobie uchwodzi zanim to coś znajdzie. I usługi — jak to się mówi — nie dostają. I w każdej fabryce, instytucji, organizacji i przedsiębiorstwie znajdzie się coś do naprawienia. Po trosze zapominamy już o bardzo zdrowym hasłku: Równajmy do najlepszych! Jakoś nadal nam najwygodniej równać do średniej, do przeciętnej, do nikogoś. A to do niczego nie prowadzi. Do niczego dobrego, a przecież my SOBIE ŻYCZYMY WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

Szkoro więc z okazji świąt pobiliśmy się — niekiedy wspólnie z naszymi paniami — wiosenne porządki w domu, przed domem i na osiedlowym skwerku, to spróbujmy po świątach, z wycieczką głową, porobić trochę porządków wiosennych i nie tylko w biurze, w fabryce i wszędzie tam gdzie powinniśmy działać.

POMYŚLNOŚCI I WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

*** PRZYSZŁOŚĆ ENERGETYKI** stale rozważana jest przez specjalistów. Według ich obliczeń co 7-8 lat podwaja się zapotrzebowanie na energię elektryczną. Pod koniec obecnego wieku dla zaspokojenia potrzeb konieczny będzie sześciokrotny wzrost produkcji energii. Nadal — twierdzą specjaliści — do wytwarzania energii używać się będzie węgla, ale już w inny sposób. Węgiel będzie przetwarzany w ziemi na gaz, a ten dostarczany rurociągami do elektrowni. Z węgla pod koniec XX wieku wytwarzać się będzie około 45 proc. energii, podczas, gdy obecnie — 67 proc. W energetyce przyszłości używać się też będzie miał węgiel i węgiel brunatny. Jednym z ważniejszych ośrodków energetyki przyszłości będzie Bełchatów. Przewiduje się również wykorzystanie węgla brunatnego w zielonogórskim. Nastąpi też rozwój energetyki jądrowej.

W Łodzi rozpoczęto już budowę Elektrociepłowni EC-IV, która po zakończeniu budowy pozwoli nadrobić braki w dostawach energii elektrycznej i ciepła.

*** KOSMICZNY REKONESANS.** Amerykańskie i radzieckie sondy kosmiczne penetrują planety naszego Układu Słonecznego. Mamy już garść informacji o planecie Wenus, mamy zdjęcia Marsa, a ostatnio amerykańska automatyczna stacja międzyplanetarna „Mariner-10” dokonała zdjęć Merkurego. Krajobraz Merkurego przekazany na zdjęciach, usiany jest kraterami, pasmami gór i dolin.

Również radzieckie sondy kosmiczne „Mars-5” i „Mars-7” dostarczyły wiele cennego materiału o czerwonej planecie.

Wiemy już dzięki temu, że na Marsie przed milionami lat były rzeki, których koryta zachowały się do dziś. Nie wiemy natomiast, czy na Marsie zachowała się jakakolwiek forma życia.

Dzięki automatycznym stacjom kosmicznym, penetrującym Kosmos, wiemy już znacznie więcej o naszym Układzie Słonecznym, ale ciągle jeszcze wiele pytań, jakie stawiają sobie uczeni, pozostaje bez odpowiedzi.

*** TRWA PRACA NAD NOWELIZACJĄ KODEKSU RODZINNEGO I OPIEKUNCZEGO.** Obowiązujący dziś Kodeks Rodzinny i Opiekunczy powstał w 1964 roku, ale też przez minionie 10-lecie wiele zmieniło się w życiu i dlatego powstała potrzeba dokonania nowelizacji tego kodeksu.

*** ZBLIŻAJĄ SIĘ MATURY,** a zaraz potem egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. Uniwersytet Łódzki poinformował, że w przyszłym roku akademickim dysponuje 2115 miejscami na pierwszych latach studiów dziennych.

*** ALKOHOL BEZ CIA** tylko w ograniczonej ilości. Dla tych którzy powracają do kraju lub którzy przyjeżdżają tu i legitymują się paszportem, nowe przepisy zezwalają przywozić bez cła jedną butelkę wina oraz jedną butelkę innego alkoholu — mocniejszego, ale pod warunkiem, że nie więcej niż 1 litr każdego z tych trunków.

Natomiast dla tych, którzy posługują się wkładkami paszportowymi nowe przepisy zezwalają na przywóz jednej butelki alkoholu bez różnicy czy to będzie wino czy wódka lub

koniak. Nie może to być jednak butelka większa niż litrowa.

Spirytusu bez cła wwozić do kraju nie wolno.

*** DZIEŃ MĘŻCZYZNY** po raz piąty już w Łodzi. Inicjatywa ta — jak na razie — nie wyšla poza granice miasta, a i w Łodzi nie wszyscy są przekonani.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

*** DO 1 MAJA** zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

*** „POPIÓL I DIAMENT”** — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

„POPIÓL I DIAMENT” — inscenizacja powieści Jerzego Andrzejewskiego przygotowały dwa łódzkie teatry: Teatr Ziemi Łódzkiej i Teatr im. Stefana Jaracza. O inscenizacji w Teatrze Ziemi Łódzkiej pisaliśmy już, o inscenizacji w Teatrze im. S. Jaracza jeszcze napiszemy. Na

nieco do tego, czy to wypada obchodzić Dzień Mężczyzny. Powoli jednak i kobiety przyzwyczajają się do tego, że i ich święto wypada 8 marca, a panów — 4 kwietnia. Zawsze to miło, jak człowieką fetują tylko dlatego, że jest mężczyzną. Miejmy nadzieję, że do przyszłego roku, do 4 kwietnia więcej pań przekonano się, że warto tym razem zrobić panom drobna przyjemność.

W Łodzi odbyły się I POLSKIE TARGI ESTRADOWE — impreza organizowana przez Stowarzyszenie Muzyki Estradowej, Łódzki Ośrodek Telewizyjny i Głos Robotniczy. Pomoc finansową udzieliły Zakłady

Textylno-Konfekcyjne „Teofilów” i Wydział Kultury i Sztuki Urzędu miasta Łodzi.

Do 1 maja zakończy się prace nad zmianą znaków drogowych przy ulicy Piotrkowskiej. Ulica ta na całej długości będzie otwarta tylko dla autobusów. Samochody wjeżdżające

na ulicę Piotrkowską między Placem Wolności a ulicą Żwirki będą mogły poruszać się tylko do najbliższej przeczny.

Nowe zasady ruchu w śródmieściu miały wejść w życie od 1 stycznia 1974 roku. Tak przynajmniej zapowiadano. Okazało się jednak, że dopiero w kwietniu przystąpiono do realizacji tych zasad.

PREZENTACJE



Foto. Włodzimierz Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

— Mamy zawodników sprawnych, wykazały badania lekarskie przeprowadzone na początku roku. Nasza drużyna rozegrała kilka meczów sparingowych, rozegra dalsze. Trudno przewidzieć, co się jeszcze może zdarzyć. Do czerwca zawodnicy z kadry biorą udział w meczach ligowych.

— Może się zdarzyć jakaś nieprzewidziana kontuzja.

— Polski Związek Piłki Nożnej wydał specjalne zalecenie sędziom ligowym, aby przed każdym meczem ligowym sprawdzali u kadrowców ochraniacze. Kadrowcom nie wolno bez nich grać.

— A jak Pan ocenia naszych mistrzowskich przeciwników?

— Liczę na to, że powinniśmy wygrać z Haiti.

— Ostatnio o drużynie Haiti mówi się bardzo dobrze.

— Nikt nie odłania swoich możliwości do końca, a pewne opinie rozpowszechnia się z premedytacją, aby zmylić przeciwnika.

— Czy Pan też sądzi, że mecz z drużyną Argentyny będzie decydujący?

— Sądzę. Uważam jednak, że znacznie łatwiej będzie nam wygrać z Włochami niż z Argentyną.

— Na czym Pan opiera swoją opinię?

— Zespoły południowoamerykańskie składają się przede wszystkim z indywidualistów.

— Piłkarskich gwiazdorów.

— Tak. Grają oni w meczach ligowych pod publiczność, popisują swoimi umiejętnościami.

— Drużyny europejskie grają całym zespołem.

— I dlatego drużynom europejskim trudno jest wygrać z zespołami amerykańskimi. Z indywidualistów składają się przede wszystkim drużyny Argentyny jak i Haiti.

— A Włosi?

— A Włosi grają nie tyle zespołem w ataku, co w obronie. Grają blokiem, jeden drugiego asekuje, nie dopuść do strzału na bramkę.

— Jak Pan ocenia umiejętności naszej jedenastki?

— Myślę, że jest jeszcze sporo czasu, aby nadrobić braki, jakie wykazali nasi piłkarze w meczach sparingowych. Mamy dobrą obronę i dobrych bramkarzy. W meczach o mistrzostwo świata gra się trochę inaczej. Tu wiele decyduje ambicja narodowa. Przy tym wszystkim trzeba jednak pamiętać, że piłka jest okrągła. Zdarzyć się może wszystko.

— Zaden polski sędzia piłkarski nie będzie uczestniczył w mistrzostwach świata.

— Jeden z naszych sędziów został zaliczony do zespołu rezerwowego sędziów.

— Iu mamy sędziów z uprawnieniami do prowadzenia meczów międzynarodowych?

— Polska posiada w FIFA limit na siedmiu sędziów międzynarodowych. Sędziów ligowych mamy 90. Każdy sędzia otrzymuje uprawnienia tylko

na rok czasu. Co roku odbywa się egzamin sędziowski na sędziów ligowych. Siedmiu najlepszych przekazuje się do dyspozycji FIFA.

— Pan też miał uprawnienia do sędziowania meczów międzynarodowych.

— Tak.

— Jak Pan w ogóle został sędzią piłkarskim?

— Pod koniec 1945 roku zapisałem się na kurs sędziów piłkarskich i jednocześnie na kurs sędziów bokserów. Po kursie zostałem sędzią kandydatem i prowadziłem spotkania piłkarskie najniższej klasy. Dopiero w pięć lat po ukończeniu kursu otrzymałem uprawnienia sędziego ligowego. Wówczas nazywało się to trochę inaczej — sędzia państwowy.

— Czy pamięta Pan swój pierwszy mecz ligowy?

— Był to mecz między Stalą — Nowa Huta a Kolejarem — Przemyśl.

— Ile lat był Pan sędzią piłkarskim?

— 25 lat. Przez ten czas prowadziłem 708 spotkań piłkarskich, a w tym 103 spotkania międzynarodowe i międzynarodowe.

— A sędzią bokserów?

— Mecz bokserów sędziowałem znacznie krócej, bo tylko do 1955 roku. Sędziowałem również mecze ligowe i byłem sędzią ringowym. Prowadzenie jednocześnie i meczów piłkarskich i bokserów pochłaniało dużo mego czasu i musiałem dokonać wyboru. Wybrałem ikarstwo.

— Kiedy był Pan jeszcze i sędzią piłkarskim i bokserem, jakie mecze wolał Pan sędziować?

— Porównanie jest bardzo trudne. Jak już wspominałem sędziowałem w ringu. Wymaga to szybkiego refleksu, trzeba interweniować w tych momentach, kiedy jeden z bokserów za rąca drugiemu, kiedy walka staje się niebezpieczna. I gdyby nie brak czasu, to chętnie sędziowałbym również w ringu, ale musiałbym wtedy wszystkie wolne dni spędzać w pościgu, jeżdżąc z jednego meczu na drugi. Jak to wiele czasu absorbuje, niech poświadczą fakt, że ożeniłem się dopiero w 40 roku życia.

— Żona kibicuje?

— Nie. Raz w życiu była na meczu piłkarskim. Był to mecz między Wisłą — Kraków, a Polonią — Bytom. I to wszystko.

— Jak mecz szczególnie utkwił Panu w pamięci?

— Było ich wiele, każdy był inny... Takim bardziej niecodziennym był chyba mecz eliminacyjny do mistrzostw świata, które rozgrywano w Meksyku. Był to mecz między drużynami Włoch i Grecji. Odbywał się on w Atenach. Jego niecodzienną rolę polegała na tym, że trwał o 20 minut dłużej niż powinien był trwać.

— Były dogrywki?

— Nie, powodem były pomarańcze.

— Nie rozumiem.

— Grecy nie jedzą pomarańcze w taki sposób jak my. Przekładają skórę, wyciskają sok, a resztkę wyrzucają. W tym wypadku wyrzucali na boisko, bo im się mecz nie podobał. Trzeba było przerywać grę, aby specjalnie przygotowane ekipy porządkowe mogły pozbierać walające się po boisku pomarańcze.

— A my narzekamy na naszą publiczność.

— Zdarzało mi się widzieć znacznie gorszą. W tej samej Grecji, po spotkaniu między Walią a ich drużyną, poproszono mnie o sędziowanie meczu tamtejszej ligi. Mecz rozgrywano w miejscowości Tricala, położonej 300 km od Aten, między tamtejszą drużyną Tricala a AEK Ateny. I tam powtórzyła się sytuacja. Mecz rozgrywano na boisku o beztrawnej nawierzchni i musiałem go przerywać kilkakrotnie, bo publiczność niezadowolona ze zwycięstwa gości, zabawiła się rzucaniem na boisko pomarańczę i innych przedmiotów. Był to wówczas — jak pamiętam — mecz decydujący dla greckiej ligi, gdyż AEK — Ateny walczył o tytuł mistrzowski, a Tricala o pozostanie w lidze. AEK wygrał wtedy 4:0 i Tricala pożegnała się z ligą. Nic więc dziwnego, że publiczność nie była zachwycona takim obrotem rzeczy.

— Mecz rozgrywały dwie jedenastki, tempo gry jest nieraz obrzydliwe, piłka co chwila przenosi się z jednego końca boiska na drugi. Sędzia musi być zawsze tam, gdzie jest akcja. Wymaga to od niego dużej sprawności fizycznej.

— Każdy sędzia otrzymuje uprawnienia tylko na rok. Co roku jest więc poddawany egzaminom sprawnościowym, testowym, teoretycznym i badaniom lekarskim. Musi na przykład przebiec podczas takiego egzaminu 6 tys. metrów w czasie 28 — 30 minut. Musi przebiec sprintem 60 metrów oraz slalom między chorągiewkami 4 razy 50 metrów też w określonym czasie. Takie egzaminy

odbywają się we wszystkich grupach sędziów. Najlepsi awansują do grup wyższych i odwrotnie. Pod uwagę bierze się zarówno wyniki egzaminów, jak też oceny każdego sędziego, jakie dokonuje się w ciągu całego roku. Siedmiu najlepszych spośród sędziów ligowych przekazuje się do dyspozycji FIFA.

— Aby utrzymać kondycję sędzia piłkarski musi trenować. Jak wygląda taki trening?

— Każdy sędzia sam dba o utrzymanie swojej kondycji, ale niezależnie od tego troszcza się o to wydział sędziowski sekcji piłki nożnej Wojewódzkiej Federacji Sportu. Dzięki temu każdy sędzia może korzystać w zimie dwa razy w tygodniu z sali gimnastycznej, a latem z boisk piłkarskich.

— Ile kilometrów przebiega sędzia w czasie trwania meczu?

— W meczu ligowym sędzia przebiega od 9 do 12 km.

— Spotykając się przez lata z sędziami piłkarskimi innych narodowości, jak by Pan ocenił naszych sędziów?

— Czy są lepsi, gorsi, czy tacy sami?

— Tak.

— To nie jest takie łatwe.

— Miał Pan przecież możliwość porównywania.

— Mogę powiedzieć tylko tyle, że na pewno nie są gorsi. Nasi sędziowie, prowadząc spotkania w innych krajach, otrzymywali niejednokrotnie podziękowania od różnych federacji piłkarskich. A więc są cenieni.

— Dlaczego zatem żaden z polskich sędziów nie będzie prowadził spotkań w Monachium?

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Jak jest Pana zdanie?

— FIFA prowadzi swoją politykę, ma większy kontakt z tymi sędziami, którzy częściej goszczą na boiskach zachodniej i południowej Europy. I wybierano spośród nich.

— Myślę, że też i piłka polska była do tej pory mniej popularna na międzynarodowych boiskach. I to chyba również odegrała jakąś rolę w decyzjach FIFA.

— Zapewne. My dopiero wchodzimy na międzynarodową arenę piłkarską i to zarówno z drużyną kadry państwowej, jak i z drużyną juniorów.

— Z tego, co Pan już mówił wynika, że sędziowanie na meczu piłkarskim nie jest łatwym zajęciem.

— Istotnie. Wielu sędziów, po meczu zarzeka się, że to ich ostatni występ, ale kiedy odpoczną, zgłaszają się po następny mecz do sędziowania.

— Czy mężczy tylko sam wysiłek fizyczny, czy też wpływa na to stan psychiczny, wyniki z atmosfery spotkania.

— Sędzia nasłucha się i od publiczności, która niezbyt lubi arbitrów i od zawodników. Obie drużyny, przystępując do gry, kierują się wolą zwycięstwa, ale wygrać może jedna, ewentualnie może być remis. Spotkanie trzeba jednak prowadzić zgodnie z przepisami, co nie wszystkim odpowiada. I to prowadzi często do konfliktów, sędziowie obrażają się nie najprzyjemniejszymi epitetami i sędzia musi interweniować w star-

ciach między zawodnikami, udzielać im nagany lub usuwając z boiska. Wszystko to razem bardzo męczące.

— Publiczność bardzo często posadza sędziów o stronniczość. Co Pan o tym sądzi?

— Sędzia jest tylko człowiekiem. Może się mylić, może czegoś w porę nie dostrzec, może błędnie zareagować. Każdy sędzia prowadzący spotkanie pierwszo- czy drugoligowe jest obserwowany i oceniany przez specjalistę. Jeśli świadomie podejmie błędną decyzję, to fakt ten nie powinien ująć uwagę obserwatora, a to odbije się na ogólnej ocenie sędziego i może nie otrzymać uprawnień sędziowskich na następny rok.

— Publiczność o tym jednak nie wie.

— I stąd złośliwe uwagi pod adresem sędziego. Złośliwe i często niesprawiedliwe.

— Publiczność niekiedy uważa, że sędzia główny, którego decyzje są niepodważalne i ostateczne, nie liczy się ze znakami sędziów liniowych. Jak to wygląda z Pańskiego punktu widzenia?

— Obowiązkiem sędziego liniowego, jako asystenta sędziego głównego, jest wskazywać pozycje spalonych zawodników, rzuty różne, wszystkie przewinienia zawodników, które miały miejsce w pobliżu pozycji sędziego bocznego. Między sędzią głównym i sędziami bocznymi istnieje ścisła współpraca. Stosują oni cały system znaków umownych. Na przykład, kiedy jest rzut różny, to sędzia boczny nie zawsze musi sygnalizować go chorągiewką, wystarczy, że będzie szedł w kierunku bramki. Kiedy natomiast

jechał na międzynarodowe spotkanie do Barcelony.

— Mówił Pan o rygorach, jakie wprowadza się, aby arbiter nie mógł być stronniczy, aby poziom naszych sędziów i spotkań stale podnosił się. Jeśli chodzi o zawodników, to karanie ich zawieszeniem w grze nie zawsze skutkuje, bo albo kluby nie liczą się z karą, albo kara zostaje zawieszona.

— Uważam, że obowiązujący system kar jest niedoskonały. Zawodnika można zawiesić w grze na pół roku, trzy miesiące, trzy tygodnie, dwa tygodnie. Możliwość jest duża. A niedoskonałość tego systemu polega przede wszystkim na tym, że każda kara można zawiesić. Otóż pewną zmianę obowiązującą obecnie wszędzie, wprowadzono po mistrzostwach świata w Meksyku. To są złote i czerwone kartki. Niektórzy sędziowie zbytnio szafują złotymi kartkami, ale jest to niewątpliwie skuteczny sposób hamowania co bardziej zapalczywych zawodników. Polski Związek Piłki Nożnej opracowuje teraz nowy system kar, który nie przewiduje zawieszania kary i to będzie druga istotna zmiana prowadząca do zwiększenia dyscypliny na boisku.

— Czy nie sądzi Pan, że obecnie obowiązujący sposób sędziowania też wymagałby jakichś zmian, że jest on zbyt tradycyjny i rodzi szereg wątpliwości?

— Przed 4 laty próbowaliśmy na meczach towarzyskich sędziować we dwójkę. W Łodzi dwóch sędziów głównych prowadził towarzyskie spotkania na stadionach Startu i Włók-

niarza. Był to eksperyment prowadzony nie tylko w Polsce.

— Jak Pan ocenia ten eksperyment?

— Trudno coś powiedzieć po dwóch spotkaniach. Osobiście uważam, że powinno być dwóch sędziów głównych. Trudność jednak w tym, że powinni to być ludzie posiadający jednakową znajomość przepisów i ich interpretacji oraz zbliżone temperamento i charakter. Mówi się też o sędziach bramkowych. Jednak czy sądzą takie zmiany, w jakim one pójdą kierunku — nie mogę powiedzieć. Wydaje mi się, że dużo będzie zależeć od zmian w FIFA. Jak wiadomo w przeddzień otwarcia Mistrzostw Świata Piłki Nożnej w Monachium ma odbyć się kongres FIFA i zmieni się prezydent FIFA. Może to pociągnie za sobą inne zmiany.

— Przed rokiem przestał Pan być czynnym sędzią piłkarskim. Co Pan teraz robi?

— Tak, jak każdy sędzia mam swój zawód. Jestem sekretarzem sekcji piłki nożnej Wojewódzkiej Federacji Sportu, a poza tym nie straciłem kontaktu z sędziowaniem, bo co niedziela czy sobota, lub innego dnia, kiedy są mecze, wizytuję innych sędziów, oceniając ich pracę na boisku.

— Odechodzeniu jednych powinno towarzyszyć przychodzenie na ich miejsce następów. Czy są chętni kandydaci na sędziów piłkarskich?

— Występuje tu pewna prawidłowość. Na przykład w czasie Wyciągu Pokoju ludzie częściej kupują rowery. Kiedy mamy teraz dobrą passę w piłce nożnej, mamy również wielu chętnych do sędziowania. W maju, w Ręcznie, LZS organizuje 2 kursy dla 150 kandydatów na sędziów. Będą potem prowadzić większe spotkania piłkarskie, bo właśnie na wsi wzrosło ostatnio zainteresowanie piłką nożną. We wrześniu zorganizujemy taki kurs dla sędziów z Łodzi. Po anonsach w prasie na kurs zgłasza się około 140 chętnych.

— I wszyscy później zajmują się sędziowaniem?

— Około 30 procent kandydatów rezygnuje. A muszę pani powiedzieć, że wśród chętnych są również kobiety.

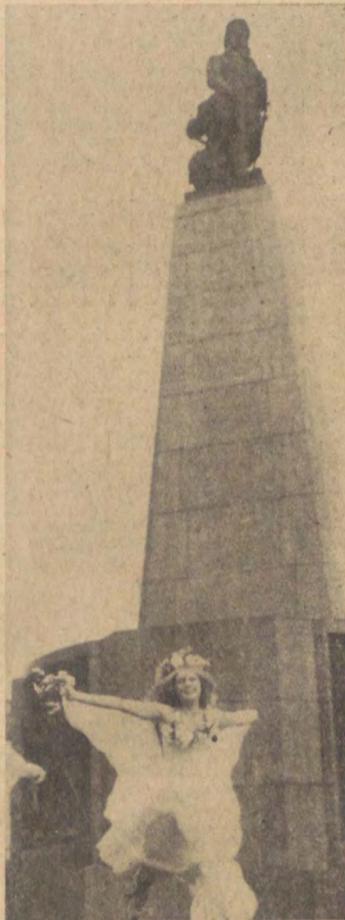
— Wytrzymują trudy sędziowania?

— Mamy w tej chwili cztery kobiety w gronie sędziów w województwie łódzkim. Jedną z pań sędziuje wraz z mężem, razem wyjeżdżają i albo ona jest u niego na linii, albo on u niej. Prowadzą mecze klasy A. Pozostałe trzy panie prowadzą mecze juniorów.

— Jak je przyjęto?

— Najpierw był szok, ale później przyzwyczajono się i teraz przyjmują się je bardzo serdecznie. Kiedy nasze koleżanki prowadzą spotkania, to na boisku nie słyszy się przekleństw i panuje miła atmosfera, bo zawodnicy i publiczność nie mają odwagi źle odnieść się do sędziego — kobiety.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ



WIOSNI



FOTO
WŁODZIMIERZ PARYS



OLIMPIJCZYCY

Od roku 1924 (Paryż) do 1972 (Monachium) zdobyliśmy 121 medali. Wśród medalistów byli też zawodnicy łódzcy.

Jadwiga Wajsówna urodziła się 30.1.1912 r. w Pabianicach. Skończyła Szkołę Handlową. Występowała jako lekkoatletka w następujących klubach: „Sokół” — Pabianice, „Fortata” — Zgierz, DKS Łódź i „Włokniarz” — Pabianice.

W okresie międzywojennym była przez długie lata klubową sportowiczką polskiego. Reprezentowała Polskę niemal na wszystkich stadionach Europy. Była rekordzistką świata w rzucie dyskiem i trzy razy startowała w Igrzyskach Olimpijskich: Los Angeles w 1932 r., Berlinie — 1936 r. oraz w Londynie w 1948 r. Zdobyła dwa medale olimpijskie.

Opowiada J. Wajsówna: „Zbiórka całej polskiej ekipy olimpijskiej udającej się do Ameryki, wyznaczono w Gdyni. Było nas dwadzieścia siedem osób: lekkoatleci, szermierze i wioślarze.

Flagę narodową niósł w czasie otwarcia Olimpiady student Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego — Zygmunt Siedlecki. W pierwszej trójce pośrodku szła Walasiewiczówna. Z jednej strony Schabińska, a z drugiej ja.

Stadion mieścił 120 tysięcy widzów: Wszystkie miejsca były zajęte. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam takich tłumów. Stawiając krok za krokiem, myślałam ze strachem, jak będę rzucać dyskiem wobec tylu widzów.

Miałam rzucać przed Walasiewiczówną. Gdy dano mi dysk przestraszyłam się. Nigdy nie miałam takiego w ręku. Był bardzo wypukły, o grubych kantach, a myśmy rzucały płaskimi.

— Nic nie zrobimy Jadwigo, marcie z nami — buczała mi nad uchem Walasiewiczówna. Mówiłam, żeby kupić dysk fiński, jakim się tutaj rzuca.

Znalazłam się w kole. Szybki obrót i dysk wyśladał na granicy 37 m. Walasiewiczówna rzuciła 32.

Oto wyniki: pierwsza Coppeland (USA) — 40,38 m, druga Osbrun (USA), trzecia Wajsówna (Polska) — 38,74, a na szóstym miejscu znalazła się Walasiewiczówna (Polska) — 33,60.

Coppeland ustanowiła rekord olimpijski, ale nie rekord świata, bo ten przecież należał do mnie i wynosił 42,43 m.

Byłam wściekła. Myślałam, że zaczęły wyrwać sobie włosy z głowy, albo że zaraz się rozpaczę. Dlaczego nie przewidziano, że będziemy rzucać fińskim dyskiem? Dlaczego nasze kierownictwo nie zapewniło nam właściwej opieki?

Znalazłam się na olimpijskim podium. Musiałam mieć bardzo żalną minę, stojąc obok Coppeland i Osbrun. Było mi nieweso.

Ktoś do mnie coś mówił, ktoś składał gratulacje, nie nie rozumiałam. Czoło moje uwiecznione zostało wieńcem laurowym. Ponadto otrzymałam brązowy medal i dyplom. Odegrano hymn amerykański, a na boczny maszt wciągnięto polską flagę.

Wróciłam do koleżanek i tu ner-

wy nie wytrzymały — rozplakałam się na ramieniu Walasiewiczówny. Stała pocieszała mnie, że jestem jeszcze bardzo młoda, że do następnej olimpiady tylko cztery lata.

Po 4 latach Olimpiada w Berlinie — 1936 r.

Do rzutu dyskiem zgłoszono dziewiętnaście zawodniczek. Moje znajome z Ameryki Coppeland i Osbrun nie przyjechały. Najgroźniejszą rywalką była Niemka Mauermayer.

Mając przykre doświadczenie z Los Angeles zdecydowałam się sama sobie radzić we wszystkim. W dniu mojej konkurencji pogoda była mglista. Zaczął lekko padać deszcz. Postanowiłam za wszelką cenę zdobyć kalfalonie do natarcia rąk, by dysk dobrze siedział w dłoni, a nie ślizgał się jak ryba.

Pojechałam kolejką podziemną do miasta. Szukałam sklepu ze skrzypcami. Nareszcie znalazłam, ale nie wiedziałam jak prosić o kalfalonie. Z trudem wytłumaczyłam o co chodzi i po kilku minutach, trzymając w ręku ceną zdobyczą, wsiadłam do tramwaju, by jechać na stadion.

Wszędzie — jak okiem sięgnąć — tłumy. Stadion wydaje się kolosalny, ale ja nie przejmuję się niczym. Myślę jedynie o tym, by rzucić jak najdalej.

Zdejmuję dres i jestem już w kole. Brzęczą mi w uszach słowa Cejzika: — „Rzucaj lekko i pamiętaj o technice”. Rzucać więc lekko i o dziwo, pierwszy rzut 44 m. Padł mój własny rekord, a równocześnie poprawiony przez mnie rekord olimpijski. Zerwała się niesamowita burza oklasków.

Po mnie Mauermayer. Bije mój rekord. Trwał on dosłownie jedną minutę. Niemka ma rzut 47,63.

Na tym jednak nie koniec. Czuję, że rzuć lepiej. Polacy z trybuny dopingują mnie gorąco: „Jadz-ka... Jadz-ka... Pol-ska... Pol-ska...”

Nie nie słyszę, widzę przed sobą tylko chorągiewkę oznaczającą rekord. Zapomniałam o słowach trenera i rzucać na siłę — 43 m, a Mauermayer — 38 m. Co się stało ze mną? Trema szybko mija. Mauermayer ma wszystkie rzuty gorsze ode mnie, z wyjątkiem oczywiście tego pierwszego. Inne rywalki nie są groźne: pozostały daleko w tyle za nami. W piątej kolejce rzutu dysk wychodzi mi wspaniale. Mam 46,22 m. Przydała się kalfalonie. Dobrze zrobił ten dwustumetrowy bieg. Trenerzy mieli rację, kiedy twierdzili, że chcąc być dobrą dyskobolką trzeba umieć również biegać.

Ustanowiłam rekord życiowy. Nigdy jeszcze nie potrafiłam przekroczyć 46 m. Byłam szczęśliwa, że teraz właśnie, na olimpiadzie, zdobyłam się na tak wielki wysiłek, że dzięki temu sukcesowi na maszt wciągnięto naszą flagę narodową, a ja otrzymałam srebrny medal, dyplom i wieńiec laurowy.

Dopiero w 1948 r. zaczęło poważne przygotowanie do wyjazdu na olimpiadę w Londynie, która odbyła się właśnie w tym roku.

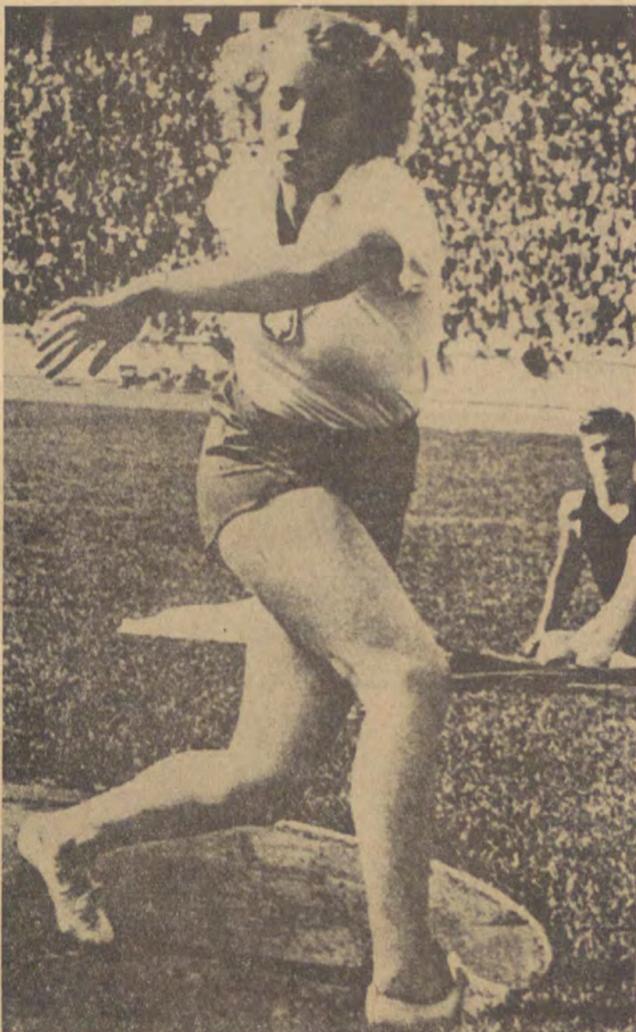


Foto Archiwum

Siedziałam uważnie wiadomości zza granicy o moich przyszłych rywalkach. Wiele zmieniło się w sporcie od ostatniej olimpiady: dla jednych wojna była hamulec w uprawianiu sportu, a dla innych okres ten przeszedł bez większego echa.

Część ekspedycji miała odplynieć z Gdyni statkiem „Lech”. Statkiem tym projektowano wysłać do Londynu także suchy prowiant dla nas wszystkich.

Naszą grupę czekała podróż samolotem.

29 lipca 1948 r., punktualnie o godzinie siedemnastej, król angielski Jerzy VI dokonał oficjalnego otwarcia Igrzysk, a w kilka minut później wbiegła na stadion sztafeta ze zniczami. Plomień zapalony w Grecji przebył długą drogę, zanim znalazł się w Londynie.

Czekałam z niecierpliwością na rozpoczęcie rzutów dyskiem. W pierwszej kolejce rzuciłam ponad 38 m. W drugim rzucie poprawiłam prawie o metr. Były to eliminacje Zakwalifikowałam się do finału. Najgroźniejszą moją rywalką okazała się

Francuzka Ostermayer oraz Włoszka Cordiale. Obydwie w finale przekroczyły 40 m w ostatniej kolejce rzutów. Widziałam, że mało mi brakuje, by zdobyć złoty medal, ale niestety, nie potrafiłam przekroczyć 40 m. Najlepszy mój wynik był 39,39.

Zwyciężyła Francuzka Ostermayer wynikiem 41,92, druga Cordiale — 40,19, trzecia Mazess — Francja, na czwartym miejscu byłam ja, a za mną Austriaczka Hedgar i Holenderka Njasing.

Po zakończeniu kariery sportowej Jadwiga Wajsówna zajęła się szkoleniem młodych lekkoatletek.

W 1972 r. była gościem honorowym Igrzysk Olimpijskich w Monachium.

Państwowe Wydawnictwo „Iskry” w 1954 r. wydało książkę pt. „Z dyskiem przez świat”. Poświęcona ona jest karierze sportowej Jadwigi Wajsówny.

Opracował: JAROSŁAW NIECIECKI

Dalszy ciąg ze str. 4

Dziś był jednak najwyraźniej podniecony jeśli w ogóle można go sobie wyobrazić podnieconym. Kiedy przyśladam mu, że idzie właśnie ostatni cykl, spytał mnie swym łamanym angielskim, czy zastanawiałem się, do czego w istocie dąży. Rzecz jasna, mówię. Powiedział mi więc.

— Dawaj, dawaj, jakoś to przeżyje. — Postuchaj: oni wierzą, że gdy przepisz wszystkie imiona boga — a tych imion, według ich wyliczeń jest dziewięć miliardów — urzeczywistni się boskie przeznaczenie. Człowieczy ród do końca tego do czego został stworzony i będzie można postawić kropkę. Cała ta idea wydaje mi się zupełnie bliźniaczym.

— Czego zatem oczekują od nas? Ze skończymy życie samobójstwem?

— Nie będzie potrzebne. Gdy tylko spis będzie gotów, bóg sam się wtępi i powie wszystko do diabła.

— Zrozumiałem: gdy tylko skończymy robotę nastąpi koniec świata. Chuck zaśmiał się nerwowo.

— To samo powiedziałem najwyższemu. I wiem, co się stało? Popatrzył na mnie jak bym palił wielkie gupstwo. Powiedział: „O takie drobiazgi pan się troszczy?”

George się zamyślił.

— Nie da się zaprzeczyć: szeroki pogład na świat — rzekł w końcu. — Cóż tu zdziwiać? Twoje odkrycie nie zmienia niczego. Jak byśmy i bez tego nie wiedzieli, że mają poprzestawiane w głowach.

— Na pewno, czy jednak nie rozumiesz, czym to się może skończyć? Wykonamy nasz program, a sądny dzień nie nastąpi. Wezmą i nas o to obwinia. Maszyna przecież nasza. Nie, nie podoba mi się to wszystko.

— Dotarło — z namysem rzekł George. — Masz rację. Ale to doprawdy nie nowego, takie rzeczy zdarzały się i wcześniej. Pamiętaj, kiedy byłem dzieckiem objawiał się u nas, w Luizjanie, sflksowany prorok, twierdził że w następną niedzielę nastąpi koniec świata. Setki

ludzi uwierzyli mu, niektórzy nawet sprzedali swe domy. Kiedy nie się nie wydarzyło nie zaczęli się złościć, nie wyobrażali sobie. Po prostu orzekli, że popełnił błąd w swych wyliczeniach i wierzyli nadal. Nie zdziwiłbym się, jeśli niektórzy z nich po dziś dzień każdej niedzieli wygładzali by koniec świata.

— Pozwól, że zwrócę uwagę: nie jesteśmy w Luizjanie. Jest nas tylko

cztery. Nie, lepiej dołączę do końca, niech będzie, co ma być.

— I teraz nie pochwalam naszej ucieczki — powiedział w siedem dni później, kiedy wierzechem, na mocnych górskich konikach zjeżdżał w dół, po spadzistej drodze. — Nie myśl sobie, że uciekam bo się boj. Po prostu żal mi tych biedaków. Nie chcą widzieć ich rozpacz kiedy przekonają się jak się

Jedyny dźwięk — to nie kończący się szmer, jak wściecznej ulewy; stukają po papierze widelki samopiszącego mechanizmu. Sam „Model pięć” wykonuje bowiem tysiąc wyliczeń — na sekundę bezgłośnie. „Trzy miesiące — pomyślał George. — Tutaj każdy może sflksować”.

— Oto on! — wykrzyknął Chuck, pokazując w dół, w dolinę. — Nieprawda, że wspaniale?

„Prawda” — zgodził się w myślach George. Stary, wysłużony samolot rozpostarł się srebrnym krzyżkiem na skraj startowego pasa. Za dwie godziny poniesie ich na spotkanie wolności i rozsadku. Te myśli chełacho się smakować, jak kieliszek dobrego likieru. George zachwycał się nią, kołysząc w siadle.

Himalajska noc prawie ich doświadczała. Na szczęście, droga dobra, jak wszystkie tutejsze drogi. A mają również latarki. Żadnego niebezpieczeństwa, tylko chłód dokuca. Na zadrzewiającym jasnym niebie przylądają mrugają znajome gwiazdy.

„W każdym razie — pomyślał George — nie utknęmy przez wzgląd na pogodę”. To tylko, co go jeszcze niepokoiło.

Zaczął śpiewać lecz szybko zamilkł. Moearne, ogromne góry z białymi czapkami szczytów nie zachęcały do zbyt burzliwego demonstrowania swych uczuć. George spojrział na zegarek.

— Jeszcze godzina a będziemy na lotnisku — oznajmił przez ramie Chuckowi. I dodał mimochodem: — Ciekawe jak tam maszyna — czy już skończyła? Według czasu — akurat.

Chuck nie odpowiedział, George obrócił się więc w jego stronę. Z trudem rozpoznał twarz przyjaciela — zwróconą w niebo białą plamę.

— Popatrz — szepnął Chuck, a George również obrócił spojrzenie w niebiosa. (Wszystko zdarza się kiedyś ostatni raz). Wysoko nad nimi, cicho, bez szumu, jedna za drugą gasły gwiazdy.

Przełożył: JACEK INDELA

Tytuł pochodzi od tłumacza. — W oryginalnie: „Nine milliards names”.

TEATR



W związku z publikowanymi wypowiedziami Czytelników o teatrze w 12 numerze „Odgłosów” otrzymaliśmy list Barbary Walkówny z Teatru Nowego w Łodzi skierowany do dr hab. Andrzeja Kosmidera. List ten publikujemy poniżej.

Stanowny Panie Doktorze!

Jest niepisany prawem i zwyczajem środowiska artystycznego nie wypowiadając się na łamach prasy, nie polemizując. Zadanem bowiem aktorów jest mówienie ze sceny. Naszym instrumentem twórczym jest nasze ciało. Głos, ręce, nogi, oczy, ekspresja i wyrazistość. Owo nieuchwytnie wnętrze, które doświadczony psycholog nazwałby sugestywnością. Oczywiście nikt z rozsądnych aktorów nie wymaga od widzów fachowości i rzetelnych kryteriów oceny naszej pracy. Tęgo wymagamy od zawodowych krytyków teatru, od recenzentów. Natomiast od widzów, wypowiadających swoje opinie na temat poziomu pracy aktorskiej w Łodzi i pozostawiających ją w ogóle, wymagamy jako człowieka teatru i aktorka, po prostu chodzenia do teatru.

Co pomyślałby Pan o mnie i o mojej wypowiedzi na łamach prasy na temat np. organizacji pracy, czy poziomu, którego z wydziałów Politechniki Łódzkiej, którego sędzią nie byłam nigdy (byłam studentką Uniwersytetu Jagiellońskiego). Pomyślałby Pan o mnie brzydko... i miałby Pan rację.

Pisz Pan, Panie Doktorze, że nawet jeśli coś jest sygnalizowane jako ponadprzeciętne w łódzkich teatrach, to intuicyjnie Pan w to wątpi. Intuicja jest jedną z podstaw naszej pracy twórczej. Każdy artysta, w mniejszym czy większym stopniu, w swojej pracy kieruje się intuicją. Jest to zatem przywilej ludzi twórczych. Miałoby być wobec tego powiatem Pana w naszym gronie. Wydawało mi się zawsze, że ludzie nauk ścisłych kierują się raczej logiką, faktami i faktami.

Wracam zatem do faktów. Mamy w Łodzi kilka teatrów. Ogromny zespół znakomych aktorów, reżyserów i scenografów. Łódź to drugie co do wielkości i ilości teatrów miasto w Polsce, położone blisko Warszawy. Teatry warszawskie pełne są byłych łódzkich aktorów tak bardzo krytykowanych, kiedy byli jeszcze tylko aktorami łódzkimi. Pisz Pan, że nie w tych warunkach nie powstrzyma emigracji ludzi twórczych z Łodzi. Kraży między nami powiedzenie, że z Łodzi widocznie trzeba odejść, następnie wrócić na gościnne występy, aby „podnieść poziom gry aktorskiej” tych, którzy jeszcze w Łodzi pozostali. Tymczasem w naszym mieście mamy ogromną grupę aktorów laureatów nagród państwowych i innych wysokich wyróżnień aktorskich. Nie jest tajemnicą, że na „Rzeczach” i „Kulturze” — teatralnych, teatry łódzkie rozbiłają wszystkie „banki nagród”. Wyjeżdżamy za granicę, jak choćby ostatnia wizyta Teatru Nowego w Belgradzie. Spotyka nas serdeczne przyjęcie ze strony publiczności i często wręcz entuzjastyczne recenzje w prasie. Czytamy i jesteśmy zdziwieni... Czyżbyśmy byli tacy dobrzy? Przykro nam bowiem do tego, że w Łodzi Teatr jest przysłowiowym „chłopcem do bicia”.

Z Pańską wypowiedzią, na łamach „Odgłosów”, sąsiaduje wypowiedź sekretarza R. Z. Z.P.B. im. Marchlewskiego, Pani Haliny Oleczak, która skarży się na to, że nie zawsze dostaje dobre miejsca na widowniach łódzkich teatrów, dla swoich miłośników Melpomeny. Widownia naszych teatrów są na ogół pełne. Zapewnia jej publiczność może mniej wyrobiona ale za to serdeczniejsza i ciepła. Publiczność, z którą mamy kontakt. Nasi widzowie jednak nas lubią i cenia, o czym świadczą liczne zaproszenia na spotkania z publicznością, i to często, daleko poza granice Łodzi, do miast i miasteczek naszego województwa i nie tylko naszego.

Władze naszego miasta doceniają w pełni rangę kultury i otaczają teatry łódzkie serdeczną opieką. Ważna jest satysfakcja jakiejś doznaje człowiek ze swojej pracy. Ludziom twórczym zaś jest ta satysfakcja szczególnie potrzebna. Ciepłej potrzebniejsza, niż ekwiwalent finansowy. Teatr jest Panie Doktorze sztuką żywą. Składa się na nią wysiłek całego zespołu ludzi. Polega na bezpośrednim, żywym kontakcie człowieka — aktora, z człowiekiem — widzom, i dlatego trzeba do teatru chodzić, aby dostrzec to, co w nim pulsuje i krąży i prawda. To weale nie są wielkie słowa. My, aktorzy bardzo często mówimy ze sceny prawdę o człowieku.

A tak na marginesie, to „poza wyjątkiem do któregoś z teatrów stolicy”, polecam Panu wizytę w Teatrze im. M. Drzewieckiego w Krakowie. Jest to, moim skromnym zdaniem najlepszy w tej chwili teatr dramatyczny w kraju. Proszę wybrać się koniecznie choćby na „Dziady”, czy „Noc listopadowa”.

Zapraszam Pana również do naszych teatrów, aby Pańska opinia poparta była faktami.

Z poważaniem:

BARBARA WALKÓWNA

(aktorka Teatru Nowego w Łodzi)

„NIEZNANY WIERZS JULIANA TUWIMA”

Nawiązując do rewelacyjnej wzmianki na łamach „Odgłosów” nr 13 o odnalezieniu przez Pana red. Wilmańskiego nieznanego wiersza Juliana Tuwima „Do Stanisława”, pragnę pochwalić, że niedawno przekazaniem do Biblioteki Uniwersyteckiej na ręce mgr Kuny plik listów Juliana Tuwima znalezionych podczas przeprowadzania remontu kapitałowego nieruchomości przy al. Kosielskiej 27. Listy owinęte w cienką płótno tknięty pod podłogą na wysokości pierwszego pietra budynku frontowego. W domu tym, jak się okazało, zamieszkiwała przed wojną matka poety.

Wacław Protowicz

Insp. Nadzoru MZBM

Łódź, 1.IV.1974 r.

Nieznany wiersz Juliana Tuwima opublikowaliśmy w numerze „Odgłosów” datowanym 1 kwietnia. List p. Wacława Protowicza również datowany jest 1 kwietnia. Czyli wszystko w porządku.



Dawno temu sprytny kot stanął kiedyś przed myszą norką i zaczął szczekać. Głupia mysz, słysząc szczekanie, myślała, że to pies i postanowiła wyjść na spacer. Skończyło się to dla niej fatalnie. Schwytał ją kot i zjadł, a oblizując się z zadowoleniem stwierdził: „A jednak warto jest uczyć się języków obcych”.

Do podobnego wniosku dawno już doszli ludzie. Jednakże problem nastroił im mnóstwo trudności. Według różnych obliczeń liczba języków na świecie, bez wliczania do niej dialektów, waha się w granicach od 2.500 do 3.000. Są wśród nich i takie, którymi mówi niewielka liczba ludzi. Ale i po ich eliminacji liczba średnich i dużych języków przekracza możliwości uczenia się. Istnieje 13 dużych języków, z których najmniejszy jest używany przez 50 milionów ludzi.

W ONZ oficjalnymi językami, w których wygłasza się przemówienia i sporządza dokumenty są: chiński, angielski, rosyjski, hiszpański, francuski (dane z 1969 roku). Ale i to nie rozwiązuje problemu. Nadal potrzeba języka międzynarodowego.

Badania opinii publicznej przeprowadzone przez Instytut Gallupa wykazały, że tak właśnie myśli przytłaczająca większość ludzi naszego globu.

Na wzmiankę o języku międzynarodowym dziewięć osób na dziesięć pomyśli o esperanto, języku sztucznym, stworzonym przez warszawskiego lekarza — Ludwika Zamenhafa. Jest to język, choć nie najdoskonalszy, ale jedyny, który zdołał osiągnąć rozgłos i uznanie. Jego historia ma już 90 lat.

Pierwszy podręcznik tego języka ukazał się w roku 1887. W roku 1889 wychodzi pierwsze pismo esperankie zatytułowane „*Esperanto*”, a w r. 1905 odbywa się pierwszy międzynarodowy kongres esperantystów w Boulogne sur Mer. Kongres Stowarzyszeń Międzynarodowych, odbyły w 1920 r. w Brukseli aprobuje esperanto jako międzynarodowy język pomocniczy; w 1921 r. Liga Narodów uchwała rezolucję, wyrażającą nadzieję, że esperanto będzie można nauczać w szkołach.

W roku 1954, podczas VIII Sesji Zgromadzenia Ogólnego krajów członkowskich UNESCO w Montevideo uchwalono rezolucję, stwierdzającą, że rezultaty osiągnięte przez esperanto w dziedzinie międzynarodowych kontaktów intelektualnych i zbliżenia narodów świata odpowiadają celom i ideałom UNESCO oraz poleca się Dyrektorowi Generalnemu śledzić wyniki nauczania esperanta w szkołach krajów — członków organizacji, a także rozwój zastosowania tego języka w dziedzinach nauki, oświaty i kultury. W tym samym też roku UNESCO przyjęło do swego grona Uniwersala Esperanta Asocio (Światowy Związek Esperantystów) jako członka konsultanta.

Według danych w roku 1965 liczba osób mówiących po esperanku prze-

kraczała dwa miliony. Języka tego naucza się w prawie 650 szkołach w 33 państwach. Wielu przekładow ksiązek dokonywano z esperanta, a nie z wersji oryginalnej. Na przykład „*Pan Tadeusz*” został tą drogą przetłumaczony na język chiński.

Mimo tych niewątpliwych sukcesów daleka jeszcze droga dzieli esperanto od tego, aby stał się powszechnie używanym, światowym językiem pomocniczym.

Jednym z pierwszych ludzi zajmujących się tworzeniem sztucznego języka międzynarodowego był słynny filozof i matematyk, *Gotfryd Leibnitz*, który podjął nieudaną, niestety, próbę stworzenia międzynarodowego pisma nazwanego przez siebie „*Pazigraphia*”. Wśród innych tego typu zamierzeń warto odnotować podjętą przez angielskiego biskupa *Wilkinsa* próbę klasyfikacji całej wiedzy ludzkiej na odpowiednie działy i nadanie tym działom symboli zastępujących poszczególne pojęcia w różnych językach narodowych.

Wszystkie te próby były z góry skazane na niepowodzenie, przede wszystkim dlatego, że celem tych, którzy je podejmowali, było nie stworzenie języka mówionego, lecz pisanego. Przełomu dokonał dopiero język stworzony przez księdza *Jana Marcina Schleyera*. Twórca nazwał go „*Volapuk*”, co wywodziło się od zniekształconych słów angielskich „*world speech*” (język światowy). Zaletą tego języka była prosta gramatyka, odrzucająca wszystkie wyjątki, wadą zaś sztucznie wymyślone słownictwo. Był to jednak język, którym można było mówić.

Esperanto uniknęło błędów swego poprzednika. Przy jego tworzeniu wykorzystana została zasada umiędzynarodowienia słownictwa.

Na początku XX wieku esperanto ma już wielu rywali, takich jak *Neutra*, *Novlatin*, *Universal*, *Ido*, które jednak można uważać za odmiany esperanta.

W czerwcu 1907 roku Delegacja dla

Wyboru Międzynarodowego Języka Pomocniczego wybiera Komitet, który rozpoczyna obrady w Paryżu. Honorowym przewodniczącym został berliński astronom, *Förster*, właściwym przewodniczącym — chemik, prof. *Ostwald* z Lipska, wiceprzewodniczącymi — dwaj słynni językoznawcy: *Duńczyk, Otto Jespersen* oraz *Polak* — największy polski językoznawca — *Baudouin de Courtenay*.

Zdecydowano, że wyboru języka pomocniczego dokona się spośród istniejących języków sztucznych, gdyż przyjęcie któregośkolwiek z języków żywych ustanowiłoby hegemonię kulturalną narodu mówiącego tym językiem. Postanowiono również rozważać kandydatury tylko tych języków sztucznych, których słownictwo było utworzone zgodnie z zasadą międzynarodowości. *Otto Jespersen* sformułował definicję najlepszego języka międzynarodowego, według której „najlepszy pomocniczy język międzynarodowy, to taki język, który pod wszelkimi względami jest najłatwiejszy dla największej liczby ludzi”.

Rezultatem obrad Komitetu była deklaracja, której autorzy stwierdzali, że żaden z istniejących języków nie może być przyjęty w całości, jednakże postanawiali w zasadzie przyjąć

tytuł sukcesów, ani też żaden inny sztuczny czy naturalny język nie jest powszechnie używanym językiem międzynarodowym. Żaden z języków narodowych, takich jak angielski, rosyjski, francuski czy hiszpański, mimo olbrzymich nakładów finansowych na ich propagowanie, prawdopodobnie nigdy w sposób naturalny nie stanie się językiem międzynarodowym, gdyż zgoda innych narodów na przyjęcie takiego języka byłaby jednocześnie zgodą na hegemonię, nie tylko kulturalną, ale i polityczną narodów mówiących tym językiem.

W tej sytuacji interesująca wydaje się propozycja wyrażona w książce *Mario Pei*. Autor wychodzi z założenia, że czas już skończyć dyskusje nad międzynarodowym językiem pomocniczym i przejść do czynu. Na początek trzeba przekonać rządy krajów świata o potrzebie przyjęcia jakiegoś języka międzynarodowego, przy czym nie musi to wcale być język łatwy, gdyż każdy język jest bez trudu przyswajalny w naturalnych warunkach, tzn. tak jak uczy się go małe dzieci. Wybrany język nie musi być językiem sztucznym; w wypadku jednak gdyby wybór padł na jakiś język narodowy, to musi on być uczyniony fonetycznym. Gdyby, natomiast, wybranym języ-

nauczającej. Dalej, nastąpiłyby czteroletni okres szkolenia nauczycieli. Obowiązkowe nauczanie wybranego języka międzynarodowego rozpoczęłoby się więc po pięcioletnim okresie przygotowania.

Mario Pei przewiduje, że język ten byłby wprowadzany na wszystkie szczeble nauczania od razu albo sukcesywnie, poczynając od przedszkoli; z każdym rokiem o jeden szczebel wyżej. Język byłby nauczany w sposób naturalny, na zasadzie absolutnej równości z językiem ojczystym, tzn. połowa czasu nauki byłaby poświęcona na zajęcia z użyciem języka ojczystego, a połowa na zajęcia z użyciem języka międzynarodowego. Nauczanie byłoby wspomaganie przez środki masowego przekazu. W ten sposób, po około 20 latach od momentu rozpoczęcia nauczania pierwsze roczniki dwujęzyczne uzyskałyby dyplomy uniwersyteckie, a po około dalszych trzydziestu — prawie wszyscy żyjący ludzie znaliby poza językiem ojczystym, w stopniu również doskonałym, jeszcze jeden język, którym można byłoby porozumiewać się wszędzie na całym świecie.

Projekt *Mario Pei* różni się zasadniczo od wszelkich poprzednich prób, gdyż jest on skierowany ku przyszłości; korzyść z niego wyciągną przyszłe generacje. Dotychczasowe próby podejmowane były z myślą o pokoleniach ludzi dorosłych, którym starano się dostarczyć łatwy do nauki środek porozumienia. Tak, jak to widzi *Pei*, dośroli mogłoby uczyć się języka międzynarodowego w taki sposób, w jaki dotychczas uczy się innych języków obcych; dopiero przyszłe generacje nie miałyby trudności z opanowaniem tego języka.

Od propozycji zgłoszonych przez *Mario Pei* upłynęło już 16 lat i... nie się nie dzieje, mimo działalności wielu instytucji, których celem jest propagowanie idei języka międzynarodowego. Póki co, może jednak warto się jeszcze zabrać do nauki języka obcego?

BOGDAN KRAKOWIAN

PÓKI CO MOŻE WARTO...?

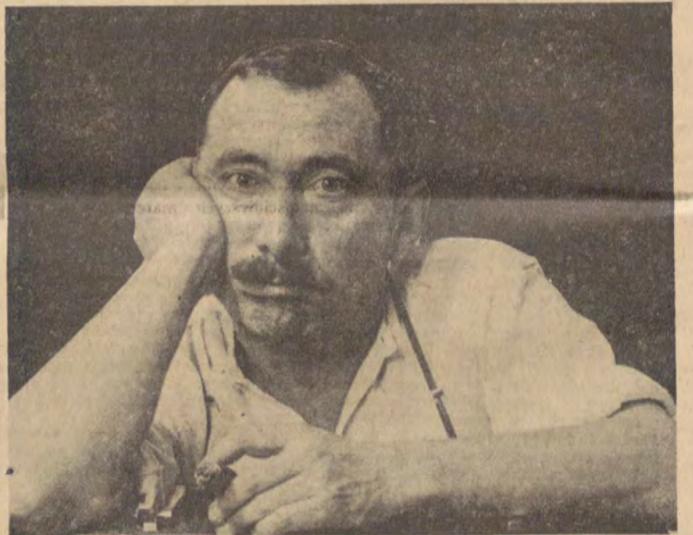
esperanto w uznaniu jego względnej doskonałości oraz tego, iż był on już dość szeroko rozpowszechniony, z zastrzeżeniem jednak, że dokonane zostaną w nim pewne zmiany wyznaczone przez wnioski z dyskusji. Zmiany te miały być przeprowadzone w porozumieniu z esperankim komitetem językowym.

Ludwik Zamenhof, który przedtem sam sugerował różne nawet drastyczne zmiany, po opublikowaniu deklaracji odmówił wszelkich dalszych dyskusji na ten temat. Rezultatem tego rozłamu była nowa wersja *Ido*, oparta na projekcie *Beaufronta*, a wypracowana przez Komitet oraz dalsze rozproszenie sił rzeczników języka międzynarodowego. Ciekawostką jest to, że sam *Jespersen*, widocznie także niezadowolony z *Ido*, stworzył swój własny język, który nazwał *Novial*.

Nie są to jedyne języki, które osiągnęły pewną dozę uznania i poparcia. Wśród nowszych twórców mamy, między innymi, takie jak *Interlingua* — język szczególnie dostosowany do potrzeb ludzi nauki, *Interglossa* — język stworzony przez *Lancelota Hogbena* oraz *Basie English* (podstawowy angielski). Ten ostatni, stworzony przez *C. K. Ogdena* w 1954 roku, jest w szczególności sposobem spreparowaną odmianą angielskiego. Zawiera on tylko 850 słów: 600 rzeczowników, 150 przymiotników oraz 100 innych słów, w tym kilkanaście czasowników. Pozostałe pojęcia tworzy się w sposób opisowy.

Patrząc na rezultaty pracy wielu ludzi w ciągu ponad trzech minionych wieków stwierdzić musimy, że mimo niewątpliwych postępów idei zastosowania języka międzynarodowego sytuacja jest w dalszym ciągu daleka od rozwiązania. Ani esperanto, mimo

kiem okazał się któryś z języków sztucznie skonstruowanych, to po jego przyjęciu należałoby go także wpiąć poddać koniecznym zabiegom udoskonalającym. Trwałoby to około roku od momentu dokonania wyboru. Okres ten byłby także przeznaczony na wyszukiwanie najlepszych nauczycieli, którzy w przyszłości stanowiąliby trzon kadry



Fot. Archiwum

A NAM SIĘ MARZY QUADROFONIA

Słuchając rok temu I koncertu b-mol Piotra Czajkowskiego w berlińskim studio Philipsa odbierałem wspaniałe wrażenie dźwięków docierających do mnie ze wszystkich stron. Działo się tak dzięki czterokanałowemu odtwarzaniu muzyki z czterech głośników w kwadrofonicznym systemie SQ. Było to' więcej niż podwójna stereofonia! Zupełnie jakby umieszczono mnie w środku wielkiej orkiestry symfonicznej Filharmonii Wiedeńskiej, przy każdym instrumencie z osobna...

W gronie polskich specjalistów mówiono dawniej o „przeskoczeniu” stereofonii wprost do kwadrofonii... Odległość okazała się jednak tak duża, że w chwili obecnej wybiera się w ZRK im. M. Kasprzaka dopiero kierunek badań. O „przeskoczeniu” nie mówi się nic, bowiem zakład ma nie małe kłopoty z dawno już opracowanym i szeroko rozreklamowanym magnetofonem stereo — ZK-246. Konstruktorzy z „Kasprzaka” dumni są ze swego dzieła. Jest to rzeczywiście magnetofon średniej klasy światowej,

posiadający niektóre parametry tzw. „high-fidelity”.

Inżynier **BOGUMIL ŻURAWSKI** — główny konstruktor z „Kasprzaka” powiedział nawet, że z każdej setki można wybrać kilka egzemplarzy mogących nosić symbol HI-FI. Magnetofony te produkowane są już od roku, wysyłamy je bowiem do Francji, gdy tymczasem dla przeszło dwumilionowego regionu łódzkiego nie dostarczono w ubiegłym roku ani jednego egzemplarza. Łódzki ZURT otrzymał z „Kasprzaka” tylko 6.700

magnetofonów szpulowych i ponad 3.600 kasetowych.

W Zakładach Radiowych w Warszawie przyjęto mnie niechętnie. Inżynier **WALERIAN TOLAK** — techniczny dyrektor „Kasprzaka”, przedstawiając mi Głównego Konstruktora powiedział znacząco:

— Tylko z informacjami oszczędnie, inżynierze!

Odniosło to oczywiście zamierzony efekt, choć inż. Bogumił Żurawski chciał zaspokoić moją ciekawość za wszelką cenę.

Rozmawialiśmy przede wszystkim o magnetofonach — bo ZRK im. Marcina Kasprzaka to od niedawna jedyny w Polsce specjalista w zakresie zapisu magnetycznego. Oprócz znanej wszystkim i popularnej w naszym kraju rodzinie *Gründiga*, a ostatnio licencyjnym „kasetowcom” *Thomsona-Ducréteta* mówiliśmy też o dyktafonach sekretarskich, laboratoriach językowych w różnych wersjach, przystawce telefonicznej, magnetowidach oraz o kilku nowościach opracowywanych aktualnie w laboratoriach i warsztatach zakładowych.

Perspektywy rozwinięte przez inż. Żurawskiego wydają się interesujące, jeśli wziąć pod uwagę zastój, jaki w tej dziedzinie przemysłu obserwowaliśmy przez parę lat. Dawno temu sprzedano pierwszą „tonetkę”, potem długo, długo nie, wreszcie „*Gründig*”, a teraz kilka typów i wersji różnych magnetofonów od razu. Aktualnie produkuje się w „Kasprzaku” przeszło 10 typów „nagrywaczy”. Asortyment ciągle się powiększa, sprzęt jest ulepszany, unowocześniany i upiękaszany.

Opracowując na przykład kasetowy magnetofon MK-121 konstruktorzy zwrócili się do załogi z plebiscytem, na podstawie którego wyłoniono spośród kilku przedstawionych wersji, oprawę zewnętrzną magnetofonu. Zobaczymy go niedługo na półkach salonów radiowych. Do nowości zaliczyć się także kasetowiec MK-125 FM z odbiornikiem fal ultrakrótkich, który wcale nie będzie większy od tego samego magnetofonu bez radia. Wydawałoby się, że połączenie małego odbiornika z magnetofonem, to sprawa niezwykle prosta, gdy tymczasem technicznie nie jest to wcale takie łatwe — będziemy przecież mieli dwa urządzenia w jednym o tej samej wielkości.

Melomanom posiadającym już wzmacniacze czy kolumny głośnikowe innej aparatury muzycznej, „Kasprzak” zaoferuje stereofoniczny magnetofon bez głośników i wzmacniacza, nieco mniejszy, lżejszy i tańszy. Dla profesjonalistów natomiast przygotowuje się kolorowy magnetowid kasetowy o wielkości normalnego magnetofonu, ale cenie znacznie wyższej. Demonstrowany na początku ubiegłego roku magnetowid MTV-10 — urządzenie przeznaczone głównie dla szkół, ośrodków naukowo-dydaktycznych i kulturalnych będzie produkowany w roku bieżącym w większych ilościach, jak również wzrośnie produkcja pozostałych urządzeń do nagrywania i odtwarzania dźwięków.

Zakładowi konstruktorzy powinni też chyba pomyśleć nad projektem poręcznego magnetofonu (tzw. odtwarzacza) jednościskowego dla potrzeb turystyki i muzealnictwa. Urządzenie takie znakomicie ułatwiłoby pracę i

tak wielkiej rzeszy przewodników, a zawierać by mogło najcenniejsze informacje i wiadomości, opracowane przez specjalistów — naukowców. Z wymienianymi tematycznie kasetami czy też bezpośrednio nagranymi prelekcjami takie kieszonkowe magnetofony znalazłyby z pewnością wielu odbiorców nie tylko wśród przewodników i kustoszów, ale także w szkolnictwie wszystkich stopni.

Działanie tajemniczej przystawki telefonicznej opisał mi inż. Żurawski ilustracją prosto z życia.

— Złożyłem taką przystawkę — powiada — kilka miesięcy temu i wyciągam ją, kiedy do mnie inżynier i chce go załatwić przez telefon, dzwoniąc słyszy w słuchawce monotonny i metaliczny głos „roboty”. „Tu automatyczna przystawka telefoniczna, w domu nie ma nikogo. Proszę przekazać informację w ciągu pół minuty...”. Po tym czasie — kontynuuje inżynier — przystawka dziękuję za informację i obłędnie przekazuje je zaraz po moim powrocie.

— I jakie są rezultaty — pytam z zaciekawieniem.

— Nie uwierzy pan, ale na początku były zabawne — przekonuje mnie inż. Żurawski. — Najpierw była długo cisza, wreszcie słychać było głośne wołanie: *Hallo, hallo, jest tam ktoś!* A jeśli już ktoś rozpoznał mój głos, przeważnie prosił: *No, co się wygłupiasz, odezwij się!* Teraz, gdy znamy wiedzę, kto mnie zastępuje, szybko mówia o co im chodzi — spodobała im się przystawka.

Mnie spodobała się również, ale z myślą zainstalowania jej w biurach usługowych, na przykład w rozlewni gazu czy naprawy sprzętu mechanicznego, nie wyłączając innych placówek użyteczności publicznej, do których często bezskutecznie telefonujemy.

Utarło się przekonanie, że my, Polacy, mamy wyjątkowe uzdolnienia językowe. Jest w tym niewątpliwie tyleż prawdy co przesady. Pewne jest jednak tylko to, że nauczanie języków obcych jest w naszym kraju wciąż jeszcze traktowane z przyzwyczajeniem oka. Rozwój kontaktów międzynarodowych powinien spowodować wzmożone zainteresowanie obcymi językami. Czy jednak tak jest?

Wydawałoby się, że wprowadzenie do szkół, przed wielu laty, języka rosyjskiego jako obowiązkowego, spowoduje przynajmniej dostateczne opanowanie go, zarówno bierne jak i czynne. Niestety, efekty tego olbrzymiego wysiłku są więcej niż skromne, można mieć oczywiście wątpliwość, czy wina leży tylko po stronie uczniów?

Faktem jest, że przyswajanie języka niemieckiego, jako dodatkowego i tylko w niektórych szkołach, przebiegało i przebiega dużo lepiej i tu należy upatrywać zasługę wykładowców, mam wrażenie, że wykładowcy języka niemieckiego — generalizując — reprezentują dużo wyższy poziom dydaktyczny i ściśle fachowy, w porównaniu do wykładowców języka rosyjskiego. Prawdopodobnie na fakt ten wpłynęła określona sytuacja w naszym szkolnictwie, zapotrzebowanie na rusycystów grubo przekraczało nasze możliwości kadrowe, więc i bardziej liberalna musiała być weryfikacja wykładowców.

Nie najlepsza sytuacja w nauczaniu języków obcych znana jest od lat, a jednak nie widać jakiegokolwiek poprawy. Krzywdzącym byłoby twierdzić, że nie się nie robi w tej dziedzinie, postęp jest tu jednak tak powolny, że się go niemal nie dostrzega.

Słyszysz się od czasu do czasu o uruchomieniu eksperymentalnych kursów, metodami audiowizualnymi, tzw. laboratoryjnymi, które dają podobno rewelacyjne wyniki, jest ich jednak wciąż stanowczo za mało, by mogły radykalnie poprawić sytuację w tej dziedzinie. Wykładowcy, stosujący te metody, traktują je jako nieszkodliwy eksperyment i zabawę, mimo iż np. w Warszawie tego typu kursy prowadzone są przez szereg instytucji (Ośrodek Francuski czy British Council) od wielu już lat, a absolwenci tych kursów doskonale dają sobie radę po wyjeździe za granicę. Metoda ta ma — przynajmniej obiektywnie — jedną kapitalną wadę, szalenie podraża cały proces dydaktyczny i w dotychczasowej formie, praktycznie nie nadaje się do masowego nauczania, nawet i w najbliższej przyszłości.

Niewątpliwie najważniejszym czyn-

nikiem w nauczaniu języków obcych jest i pozostanie jeszcze bardzo długo osoba wykładowcy, jego umiejętności zawodowe i dydaktyczne i nad tym warto chyba zastanowić się już dzisiaj, wcześniej nim podejmować bę-

nastawionych na produkcję eksportową, lub kooperujących z zagranicą, organizuje się kursy języków obcych, a koszty nauki ponosi przedsiębiorstwo. Są to jednak wciąż zjawiska bardzo rzadkie.

by tą właśnie drogą nabył umiejętności posługiwania się angielskim, czy francuskim, co oczywiście nie znaczy, że kursy te nie spełniają swego zadania. Znam natomiast przykłady i to wcale nie pojedyncze, że ludzie w stosunkowo krótkim czasie opanowali jeden, a nawet dwa języki i to w takim stopniu, że przechodzili bez zastrzeżeń przez specjalną komisję weryfikacyjną. Muszę jednak dodać, że działali tu zawsze bardzo silne i atrakcyjne bodźce, jak np. wyjazd za granicę w celu podjęcia korzystnej pracy. Okazuje się, że dzięki silnym bodźcom ujawniły się niezbędne zdolności językowe, które umożliwiły samodzielną i efektywną naukę. Są to jednak przypadki sporadyczne, a ludzi decydujących się na tę formę nauki musi cechować niezwykle silne poczucie wewnętrznej dyscypliny.

Faktem jest, że bardzo mało ludzi decyduje się na samodzielną naukę, nawet mimo tego, że posiadają jakieś tam szkolne początki.

Jestem głęboko przekonany, że nadszedł już czas na podjęcie ogólnonarodowej kampanii na rzecz masowej nauki języków obcych, właśnie na zasadach ogólnej dostępności i bezpłatności, może jedynie pod warunkiem podpisania deklaracji o konsekwentnym uczestniczeniu w nauce. Boję się jednak, że w dalszym ciągu nie jesteśmy do tego przygotowani kadrowo. I dlatego proponowałbym, aby zasady te wprowadzić sukcesywnie, w miarę przyrostu kadry wykładowców z prawdziwego zdarzenia. Zdaję sobie sprawę, że podjęcie decyzji na szerszą skalę jest zawsze ryzykowne, ale przecież wiemy wszyscy, że bez ryzyka nie może być mowy o postępie, nie tylko technicznym.

KAZIMIERZ SKIBICKI

W ogólnonarodowej dyskusji nad reformą szkolnictwa w Polsce i ten problem wzięto pod uwagę, boję się jednak, że zanim opracuje się nowe programy kursów i przygotuje do nich właściwe kadry, minie jeszcze sporo czasu. A tego czasu tracić nam nie wolno.

Polskie Radio i Telewizja od wielu lat prowadzą naukę języków obcych. Z jakim skutkiem? Niestety, wśród moich znajomych nie ma nikogo, kto

RYZIKO i SUKCES

dziliśmy decyzję o utecznieniu nauczania. Ludzie mądrzy, często wojujący po świecie, twierdzą, że np. w NRD, na Węgrzech, czy w Czechosłowacji przeciętny uczeń ma o całe niebo lepiej opanowany np. język angielski, czy niemiecki, niż uczeń polski w analogicznej klasie. Muszą więc w samym procesie nauczania tkwić przyczyny i warto by szerzej sięgnąć po doświadczenia z NRD i CSRS.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, że nawet w najśmielszych marzeniach nie wolno nam zakładać, że informacje naukowo-techniczne będą docierać do nas w formie lekko strawnej papki, gotowej do wykorzystania. Nie wolno też zapominać, że obecnie w świecie trwa nieustanny wyścig do nowoczesności i praktycznie niemożliwe jest tłumaczenie wszystkich nawet najwartościowszych materiałów, nie mówiąc o tym, że tłumaczenie skutecznie opóźnia dotarcie informacji. W niektórych krajach już dawno doceniono wagę znajomości obcych języków i np. w ZSRR, czy Czechosłowacji, przy każdym większym zakładzie pracy organizuje się kursy języków obcych. W krajach socjalistycznych nauka języków obcych traktowana jest z całą powagą jako element podnoszenia kwalifikacji, co leży w interesie pracodawcy i dlatego powszechną zasadą jest tam, że pracodawca pokrywa koszty nauki.

U nas też ostatnio, w niektórych większych zakładach pracy, szczególnie

Mając wreszcie zgodę na zwiedzenie hal produkcyjnych, idę do sąsiedniego budynku. Mieści się tutaj taśma „Grundig”, MK-125 i hala obróbki plastycznej. Hala są duże i widne, ale ciasne — wyroby piętrzą się pod ścianami, miejsca jest ledwie dość na wąski wózek transportowy. Kierownik oddziału, prowadząc mnie na początek taśmy, przelicza się pomiędzy pudłami magnetofonów. Zagadnięty, odpowiada, że cała dzienne produkcja idzie bezpośrednio do samochodów, bo magazynów brak, a przewoźnicy są z reguły niepunktualni.

Taśma ma bieg wymuszony, czyli przesuwana się automatycznie. Przeciętnie co 70 sekund schodzi z niej gotowy „Grundig” wprost do miniaturowej wręcz kabinki kontroli technicznej. Całą taśmę obsługuje około 70 osób, w większości kobiet, bo według opinii wytrawnego majstra mężczyźni są zbyt nerwowi i rece im się trzęsą, kiedy mają tylko minutę czasu na wykonanie 15 operacji. Najważniejsze przy montażu są stanowiska regulacji elektrycznych i mechanicznych urządzeń magnetofonu. Gotowy magnetofon sprawdzany jest w fabryce trzykrotnie i każde, oczywiście wykryte, najdrobniejsze nawet uszkodzenie jest natychmiast usuwane na specjalnie wyposażonych stołach monterskich. W praktyce jednak kontrola jest zbyt pobieżna i niedokładna, o czym często przekonujemy się dopiero w sklepie. Podobnie wygląda montaż magnetofonu kasetowego, tyle tylko, że taśmę obsługuje tu dwa razy więcej pracowników, no i praca ich musi być bardziej precyzyjna.

Schodząc piętro niżej, do hali ob-

róbki plastycznej, przypominam sobie list czytelnika „Życia Warszawy”, który usiłował kupić magnetofon MK-122. Pisał on:

„... wybieram i na pięć przyniesionych przez sprzedawcę magnetofonów żaden nie odpowiadał podstawowym wymaganiom. Jeden że odwarżał, drugi nie nadawał się do nagrywania, trzeci odwarżał bardzo cicho, czwarty i piąty odwarżał bardzo głośno, czwarty i piąty odwarżał bardzo głośno, czwarty i piąty odwarżał bardzo głośno, czwarty i piąty odwarżał bardzo głośno, czwarty i piąty odwarżał bardzo głośno...”

Czytelnik ów miał chyba pecha, ale czeka na dobry magnetofon z nadzieją, że się doczeka. Być może.

Ja tymczasem oglądam imponujących rozmiarów wtryskarki, które w ciągu kilku sekund wykonują skomplikowane i precyzyjne zarazem elementy przyszłego magnetofonu. Większość maszyn sprowadzono tu z Austrii, część jest z fabryki w Żywcu, jest też kilka wtryskarek całkowicie automatycznych, z góry zaprogramowanych na cały dzień. Człowiek kontroluje tylko wskaźniki i zegary. Sześć tego oddziału pokazuje mi jak z idealnie wypolerowanych niemieckich matryc, notabene ważących przeszło tonę, co parę sekund wychodzi lekko przydymiona kobaltowym odcieniem fioletołu pokrywa do ZK-246 lub Hita, którą trzeba odbierać białymi rękawiczkami. Tak więc obecna technika i technologia produkcji wymagają nie tylko precyzji, lecz także czystości i delikatności.

W Zakładach Kasprzaka pokazano mi zaledwie trzy hale produkcyjne. Nie zobaczyłem, niestety, aparatury do nauki języków obcych. Porównanie, jakiego chciałem dokonać, byłoby zapewne interesujące. Bowiem

znając norweskie kabiny językowe marki „Tandberg”, których nielicznymi w kraju posiadaczami są centrale handlu zagranicznego, mógłbym powiedzieć, czy nasze „audiotrenery” są równie doskonałe. O skuteczności i szybkości nauczania języków obcych metodą laboratoryjną pisali już językoznawcy, pedagogi i sami słuchacze. Nie chciałbym więc powtarzać...

„Kasprzak” opracował prototypy tzw. audiotrenerów w wersji stacjonarnej i przenośnej — opartych o podstawowy produkt zakładów — magnetofon. Ponieważ dział planowania ZRK obiecał przyjmować zgłoszenia kupna laboratoriów, podam, że stacjonarne laboratorium wykorzystanie można też w lecznictwie wad wymowy oraz w nauce innych przedmiotów opartych o ćwiczenia słuchowe. Laboratorium posiada 20 kabin i pulpit lektora, ma programy emitowane z dwóch magnetofonów — w sumie na 8 godzin kursu. Może być też wyposażone w gramofon i radio. Dysponuje szerokimi możliwościami pracy lektora z zespołem słuchaczy. Można na przykład kopiować i mikrować głos, pracować na podsluchu, prowadzić rozmowę indywidualną z zapisem wypowiedzi, organizować konferencje grupowe i zespołowe etc. Laboratorium przenośne natomiast wyposażone jest w 12 słuchawek, lecz już bez kabin, ma nieco mniejsze możliwości techniczne, waży 35 kg, kosztuje około 50 tys. zł.

W zakładach opracowano też projekt laboratorium dla potrzeb instytucji filologicznych o symbolu ATX. Będzie ono kopią audiotrenera stacjonarnego, z tym, że każda kabina będzie posiadała swój magnetofon, co

umożliwi nagranie kursu przez słuchacza i wielokrotne przesłuchanie materiału. W „Kasprzaku” zapewniłoby mi, że do produkcji audiotrenerów przystąpi się jeszcze w pierwszej połowie br.

Również w bieżącym roku mają być skonstruowane pierwsze dyktafony biurowe. Urządzenia te, bardzo pomocne szczególnie w sekretariatach, działają będą na bazie magnetofonu kasetowego i kaset typu „Compact”. Całość może być zdalnie sterowana, a nawet przyłączona do aparatu telefonicznego. Urządzenie odzwierciedla można połączyć z maszyną do pisania — wówczas maszynistka nożnym pedałem będzie uruchamiała i zatrzymywała taśmę z nagranyim tekstem. Oszczędza to pisania brudnopisów i znacznie usprawnia oraz przyspieszy przekazywanie i gromadzenie informacji.

Reporterska wizyta w fabryce dobiega końca. Wiemy już, co się w „Kasprzaku” produkuje, co się będzie produkować i co nasz rynek otrzyma niebawem z tej dużej, jedynej w Polsce fabryki magnetofonów.

W roku 1973 sprzedaż magnetofonów wzrosła w porównaniu z latami ubiegłymi o 150 proc. Nie jest więc sprawą obłątaną, jak się reklamuje i sprzedaje tego typu artykuły. Każdy, kto chce kupić nowy lub zastąpić starym magnetofonem, domaga się pełnej informacji o walorach technicznych i użytkowych modeli. Tymczasem prosząc o reklamówki w specjalistycznym salonie radiowym nie dostaję nic, w zakładach natomiast dano mi instrukcję obsługi ze schematem magnetofonu i kilka kartek papieru z odbitym na kopiarce lakonicznym lecz niezrozumiałym dla przeciętnego odbiorcy zestawem informacji. Widać producentowi nie zależy na reklamie i prezentacji swoich wyrobów i możliwości. Handlowcy, którzy bardzo bo-



„POCIĄG NR 1607”

W związku z artykułem pani Bogdy Madej w „Odgłosach” z 14. III. 1974 r. pt. „Pociąg nr 1607: pozwalam sobie włączyć się do sprawy”.

Uważam za słuszne na wstępie zaznaczyć, że: primo nie jestem potencjalnym podróżnym a stałym — zawod —, secundo: opinia, którą wyrażam, jest sumą opinii moich rozmówców na omawiany temat, a z którymi prowadziłem rozmowy w pociągach, hotelach, zebraniach itp.

Przystępując do rzeczy z góry zaznaczam, że w zasadzie zgadzam się z autorką, lecz potraktowała sprawę zbyt powierzchownie bez właściwej analizy przyczyn, a dopiero skutków. Ponadto potraktowała rzecz wycinkowo. Również wielokrotnie zwracałem się z uwagami lub zażaleniami i to do najwyższych władz w hierarchii PKP, lecz zawsze otrzymywałem odpowiedź i to w terminie przyspieszonym, a nawet niektóre moje propozycje zostały zrealizowane.

Oczywiście nie znaczy to, że pani Madej nie ma racji, lecz o ile tak było, nie trzeba się stawiać w postaci prosiaczego „dziada”, lecz uderzyć gdzie i jak potrzeba, a więc jeżeli aparat administracyjny zaniedbał swoje obowiązki odnośnie współzycia na płaszczyszczy „obywateli — urzad”, obrażając odpowiednie ustawy i zarządzenia — prosta droga do powiadomienia o tym odpowiednich instancji partyjnych.

Jeżeli chodzi o ten balagan z biletami, gdyby to był tylko ten wypadek, jeszcze nie byłoby tak źle.

Podstawia się nadal nieogrzewane pociągi, gorzej bo jeżdżącym nieogrzewanym pociągami Łódź — Warszawa pośpiesznym „Narew” też nie ogrzanym. Dopiero w okolicach Małkini zaczęło być ciepło. Drzwi do ustępu nie zamkają się, brud, niedomykające się okna itd. itd. — wystarczy. Ale szczytem wszystkiego to ustawianie konwek z wodą w ustępiech. Woda się wylewa, błoto, wnoszą się do wagonu, a jeżeli to jest pociąg dłuższej relacji np. Łódź — Białystok, to już przed Warszawą brakuje wody i ustęp staje się mlejsem, do którego nie można wejść. Smród i brud.

Pytam się czy obywatele z tych wyższych szczebli PKP też jeżdżą zimnymi wagonami? Używają wiańców w ustępiech? Kiedy narzeczę będziemy mogli lechać w warunkach higienicznych, odpowiadających potrzebom dzisiejszej cywilizacji? No i wreszcie zachowanie się obsługi pociągu. Czego my właściwie chcemy? Zachowania nie żałujmy sobie okólnikiem. Trzeba wychować człowieka w odpowiedniej atmosferze, bo ta urzędowa grzesność daje zabawne wyniki wręcz groteskowe.

JERZY TREDJAKOWSKI
(Łódź)



„REQUIEM NA ŚMIERĆ LOSIA”

W zamieszczonej („Odgłosy” 21 marca 1974 r.) moim wierszu pt. „Requiem na śmierć losia” — pominięto nazwisko poety i rzeźbiarza, któremu wiersz był dedykowany.

Proszę o wydrukowanie tego sprostowania.

Z należnym szacunkiem
MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

OD REDAKCJI:

Przepraszamy za to przeoczenie i list p. M. M. Szargana drukujemy. Tego rodzaju przeoczenia są rzeczą ludzką, czego dowód choćby w liście, którego autor także przeoczył nazwisko poety i rzeźbiarza, któremu wiersz był dedykowany”.



Fot. Archiwum

leją z tego powodu, uparcie jednak dają do ideału, jakim jest przekonanie, że „towar sprzedaje się sam”. Z pomocą może im przyjść rozbudowana, rzetelna informacja i reklama, skierowana z przemyślną do handlu. Ułotki i instrukcje to za mało dla sprzedawcy, który jest handlowcem a nie inżynierem i dla klienta, który inżynierem nie musi być!

Z konfrontacji przemysł — handel — nabywca wyłania się jeszcze jeden problem. Często bowiem zdarza się, że producent, chcąc ratować swoją markę na rynku, zapowiada serię nowości. Nowości, które de facto wiążą jeszcze rozpięte na deskach projektantów. Handel zaczyna gromadzić pieniądze i wysyła zamówienia. To samo robi klient. Ale lańcuch zrywa się po kilku tygodniach czy miesiącach. Potencjalny nabywca, zmieszany dopytywaniem się o nowość, wydadę wreszcie pieniądze na coś innego, lub kupując to samo (w przypadku magnetofonu lub to za granicą lub w banku PeKaO, komisje) zwróci się do krajowego producenta. Stan taki jest niekorzystny nie tylko dla danej gałęzi, czy nawet całej gospodarki z punktu widzenia ekonomicznego, lecz także z punktu widzenia psychiki jednostki i społeczeństwa. Idealem byłoby więc reklamowanie czy zapowiadanie nowości „dzień” przed rozpoczęciem jej sprzedaży.

Nowa, a nieznaną chyba bliżej w „Kasprzaku”, nauka, jaka jest marketing, czyli po prostu znajomość rynku, powinna stać się przedmiotem badań na równi z nowymi wynalazkami i technikami produkcji.

MARIUSZ A. JAKUBOWSKI

WIOSNA NAD KRAKOWEM

Dalszy ciąg ze str. 1

szłych inżynierów, oceanografów, biologów... A mimo to podnosi się stale poziom zarówno muzyki jak i tekstów. Co prawda niektórzy studenci działacze niechętnym okiem patrzą na korzystanie z autentycznych poetyckich tekstów sprawdzonych już drukiem. Ba, znalazł się nawet w studenckim piśmie postulat, aby... ograniczyć „korzystanie z tekstów sprawdzonych“.

Trochę to dziecinne, bo czym byłaby grupa „BOOM“, gdyby zamiast Baczynskiego śpiewała, na przykład, Kowalskiego? Przecież umiejętność wyboru odpowiedniego tekstu, umiejętność wyboru określonego stylu muzyki świadczy o wrażliwości, kulturze artystycznej — po prostu o dojrzałości.

Nie widzę więc nic złego w fakcie, że student politechniki z gitarą za 850 złotych nie pisze sam nieporadnych (lub zaledwie poprawnych) słów do swoich ballad, lecz szpera po zbiorach wierszy, aby wreszcie natrafić na wiersz, który uzna za bliższy jego myślowi, wrażeniom, jego muzyce...

4.

Krystyna Pasik z Łodzi śpiewała na Łódzkiej Gieldzie w Klubie Dziennikarza urokliwą piosenkę Ewy Proszak do wiersza Jana Lechonia. Oczywiście trudno było młodej studentce konkurować z piosenkarkami, mającymi za sobą opolskie festiwale i wykształcenie wokalne. Myślę jednak, że nie zdradzę tajemnic obrad łódzkiego jury, jeśli powiem, że Krystyna Pasik przegrała na marcowej gieldzie o przysłowiowy milimetr.

W Krakowie Krystyna Pasik reprezentowała Łódź, razem z Lechem Calusem, także zresztą uczestnikiem jednej z Giełd Piosenki Klubu Dziennikarza.

Dwójka młodych łódzkich piosenkarzy w barwach miasta siedmiu uczelni — to proporcja skromna. Nie będą oceniali ich występu w Krakowie, choć zarówno Krystyna Pasik jak i Lech Calus na pewno prezentują ciekawe indywidualności. Trudno jednak nie ocenić faktu, że poznań, Gdańsk, Wrocław — nie mówiąc oczywiście o Warszawie — po prostu widać i słychać... Łódź przechodzi bez echa, wysyła na Festiwal zaledwie dwójkę.

A gdzie na przykład znakomita wokalistka Jadwiga Paduch, studentka łódzkiej wokalistyki? A gdzie znakomity „Camer-Ton“, także przecież studencki, choć dziś już na polu zawodowy zespół.

Owa „zawodowość“ nikomu zresztą w Krakowie nie przeszkadzała. Studentów Warszawy na przykład reprezentowała Magda Umer — dziś już przecież profesjonalistka, autorka dużej płyty „Polskich Nagrań“. Nawiasem mówiąc Magda Umer nie zaśpiewała nawet nic nowego, tylko piosenkę z owego głośnego już long-playa. Ale, formalnie biorąc, jest jeszcze studentką, więc...

Czemu w Łodzi nie pomyślano w ten sposób? Czemu nie wystąpił w Krakowie zdolni studenci wokalistyki, łódzkiej PWSM, czemu nie wystąpił „Camer-Ton“?

Nie wiadomo dokładnie. A dziwi mnie to tym bardziej, że tego roku same środowiska decydowały o własnej obsadzie Festiwalu. Zmienił bowiem dotychczasowy regulamin i o dopuszczeniu do imprezy nie decydowała jakaś centralna komisja, lecz rzecz się rozstrzygała w tzw. terenie.

Zrodziło to zresztą spore zamieszanie. Dość powiedzieć, że przesłuchania konkursowe trwały... ponad 12 (słownie dwanaście) godzin. Imprezy zaczynały się wieczorem a kończyły nierzadko o świcie.

5.

Na Krakowskim Rynku w samo południe. Z całą należąca galą i normal-

nym zamętem, z towarzyszeniem herolda (jakże Kraków obejść się może bez herolda) ogłoszenie wyników tego maratonu piosenki.

Z trzech głównych nagród — dwie przypadły kabaretom. Do „Elit“, „Salonów Niezależnych“ i „Teyów“ doszłusowuje od dziś debiutant z Krakowa — kabaret „Pod Budą“. Drugą główną nagrodę otrzymał Krzysztof Piasecki z Wrocławia. W roku ubiegłym też triumfował, tyle, że wtedy w duecie „Brylantowe Spinki“.

Wreszcie trzecia główna nagroda dla najlepszej wokalistki Festiwalu — Elżbiety Wojnowskiej z warszawskiej „Stodoły“. Piosenka Henryka Albery — „Zaproście mnie do stołu“ niebawem zacznie gościć na młodzieżowych listach przebojów. Tak w każdym razie twierdzą znawcy — starzy festiwalowi wyjadacze.

I to by było na tyle — jak mawia prof. mniemanologii stosowanej, Jan Tadeusz Stanisławski.

6.

Do stołu zaproszono właśnie Jana Stanisławskiego, a było to na koncercie maratonu kabaretowego, który trwał od dziewiątej wieczorem do trzeciej rano. Nic dziwnego, że profesor zajął pozycję siedzącą, serwowano mu wyszukane potrawy, nad którymi wybitny mniemanolog monologował.

Wśród wyszukanych potraw wyróżniła się — zielona sałata, ogórek (nowalijka zresztą) oraz ryż dmuchany, który profesor szczerą garścią rzucał w tłum. Wyglaszając przy tym monolog-gigant na temat filmu „Wielkie żarcie“.

Jeśli już jestem przy potrawach. Otóż czy wiecie, kto był zawsze nieodłącznym towarzyszem Klossa? Był nim... Open.

Tak jest! Przecież na każdym stoliku z marynatą widnieją obok siebie napisy: „closs — open“.



Fot. Włodzimierz Parys

7.

Grzegorz z Gdańska bierze gitarę, trąca palcami struny i mówi: „a teraz zaśpiewam wam piosenkę bardzo popularną wśród studentów Gdańska...“

I zaczynają płynąć słowa:

„Fioletową szminkę kupuje dziewczyna
Fioletowe światła i afisze kina

W mieście fioletowym szukam innych barw
przepływa przez palce fioletowy czas...“

Więc jednak zamknął się krąg. Przyjechałem do wiosennego Krakowa, aby odnaleźć coś, czego nawet nie chcę nazwać, bo już nie istnieje — i znalazłem ten wiersz sprzed piętnastu lat, wiersz napisany przez

chłopca, którego już nie ma, śpiewany przez innego chłopca, który jest — najzupełniej realnie jest, trąca palcami struny gitary i śpiewa ten zapomniany wiersz, wygrzebany z tomiku, o którym już myślałem, że przestał istnieć w ludzkiej świadomości w momencie, kiedy ja o nim zapomniałem...

Ale napisany wiersz istnieje, wędruje własną drogą nie pytając autora o zdanie, trafia w zakamarki ludzkiej wrażliwości, zaczyna nagle żyć swoim życiem, bo trącił struny czyichś uczuć, doznał... I ten wiersz, jego powracająca melodyjka, przypłynął do mnie w wiosennym Krakowie, tak lekko i bez wysiłku przebijając dystans piętnastu minionych lat...

JERZY WILMAŃSKI

Ocean przywitał nas długą falą i dość silnym wiatrem. Wszystko szło normalnie. Komunikaty zapowiadały co prawda sztormy ale dla wód odległych od nas. Nasz jacht trzymał się całkiem dobrze. Jednak w ciągu następnej nocy, kiedy wiało już zdrowo, Neptun postanowił zabawić się z nami.

Zaczęło się od samozapalenia pławki świetlnej przy kole ratunkowym na rufie jachtu. Groziło to wybuchem beczek z benzyną i olejem silnikowym umieszczonym w pobliżu. W chwilę później pękła fala i fok spada na pokład. Jacht traci wiele na szybkości i zdolności manewrowej. Właśnie w tym momencie zauważyliśmy, że jakiś statek rybacki znajdujący się dotąd w bezpiecznej odległości zmienia kurs i idzie wprost na nas. Nie pomaga strzelanie rakiet. Kuter jest coraz bliżej. Zasnęli tam wszyscy, czy co u licha?

Próbujemy zapalić silnik, ale ten, jak na złość, zachlystuje się wodą zamiast zapalać. Po wielu nerwowych próbach oraz wykonaniu zabiegu, który nazwaliśmy „inhalacją“ (otwieranie odprężników) wreszcie zapala. Dosłownie w ostatniej chwili uciekamy sprzed dziobu kutra. Ledwie odeszliśmy na bezpieczną odległość, silnik znów staje. Co jest? Okazuje się, że w czasie naszej szamotaniny w ciemnościach zmyta z pokładu linna wkręciła się w śrubę napędową. Szczęściem nie zaklinowała się zupełnie. Po wielu próbach udaje się ją wyplątać. Nie zapalamy już silnika. Stawiamy małego foka i płyniemy dalej.

Zbliżyliśmy się do atlantyckich wybrzeży Hiszpanii. Mijamy przylądki — Cabo Willamo i Cabo Finisterre, zwany w marynarskiej gwarze „Przylądkiem ciepłych gaci“ i podchodzimy do Vigo.

Vigo rozciągnięte na wysokich brzegach riasu przedstawia piękny widok. Nad miastem i portem górują ruiny średniowiecznego zamczyska. Zwiedzając miasto próbujemy odnaleźć tu coś, co jest dla nas bardzo hiszpańskie, coś z Don Kichota. Ale Galijska to nie Kastylia czy Kordoba. Jest to region szczególnie rozwinięty przemysłowo.

O północy ruszamy w dalszą drogę. Wkrótce wychodzimy na otwarty ocean. Wieje dość silny północny wiatr, który nad ranem osiąga siłę sztormu. Bijemy rekord przebiegu dobowego — 180 Mm (ok. 330 km) i następnego dnia w południe mijamy Przylądek Roca — wyniosłą górę po północnej stronie delty Tagu. Decydujemy się zawinąć do Lizbony która z daleka już kusi niemal cukierkowymi widoczkami. Robimy to niejako dla przetrwania szlaku. Dotychczas bowiem żaden polski jacht nie odwiedzał Portugalii. Wchodzimy do portu jachtowego, który jest dosłownie zapechany jachtami z całego świata. Jest niedziela więc nawet nie ma mowy o załatwieniu formalności.

Mimo braku wiz portugalskich otrzymujemy pozwolenie postuju. Stojmy dwa dni. Po wykonaniu niezbędnych prac na jachcie zwiedzamy miasto rozciągnięte na wielu wzgórzach zwieńczonych najczęściej jakąś charakterystyczną budowlą — kościołem, katedrą, klasztorem. Nad miastem górują mury starego zamczyska Sao Jorge. Nic dziwnego, że

spieszmy tam przede wszystkim. Rozległy park wokół zamku zamieniono na coś w rodzaju ogrodu zoologicznego, zapelnionego egzotycznymi zwierzętami. Z murów i baszt rozciąga się wspaniały widok na Lizbonę, jej białe domy, kolorowe dachy, zielone ogrody i olbrzymia deltę Tagu przeciętą jednym z najdłuższych mostów w Europie, po którym swobodnie przepływają duże statki. Po drugiej stronie rzeki króluje nad miastem ogromny posąg Chrystusa. W zachodzącym słońcu lśnią kopuły bazyliki i dziesiątków kościołów.

Nazajutrz, drugiego października wychodzimy w morze. Wiatr, który

świetlona słońcem lub wytryskująca gejzerem spod dziobu, gdy jacht nabiera szybkości, mieni się wszystkimi odcieniami bieli i błękitu.

Casablanca ukazała się na widnokręgu w sobotę 9 października. Wczesnym popołudniem cumujemy w porcie jachtowym. Mamy trochę kłopotów z załatwieniem formalności portowych gdyż trwa ramadan i Arabowie pracują niechętnie. W konsulacie otrzymujemy listy z kraju i natychmiast je czytamy spragnieni wiadomości od najbliższych. Wieczorem wybieramy się do miasta. Mimo późnej pory handel kwitnie w najlepsze, restauracje pełne. Dopiero po zmroku można się najęść. Co krok zatrzy-

by, gdyż do portu zawija polski statek „Garwolin“. Stajemy przy jego burcie i korzystając z życzliwości załogi uzupełniamy zapasy, robimy wielkie pranie i jednocześnie ze statkiem opuszczamy port.

ATLANTYK

Przed nami ponad 2,5 tysiąca Mm (ponad 4,5 tys. kilometrów) do wytkniętego celu — Barbadosu, najbardziej na wschód wysuniętej wyspy w archipelagu Małych Antyli. Wybrana przez nas droga na drugą stronę Atlantyku jest typową drogą żaglowców. Współczesne statki pływają po najkrótszej drodze, ale dla żaglowca

KIERUNEK HAWANA

nas tutaj pchał z siłą sztormu, ślad pozostawiając rozkołysany Atlantyk. Również w ciągu kilku następnych dni nie mamy zbyt wiele wiatru. Europa żegna nas mruganiem latarni na Sao Vincente. Zaczyna się egzotyka, której pierwszym zwiastunem jest stado delfinów odwiedzające nas tej nocy.

CASABLANCA

Na odcinku Lizbona — Casablanca żegluga przebiega spokojnie. Rozkoszujemy się ciepłym słońcem. Obserwujemy życie oceanu, który w tym rejonie ma zaskakująco intensywny, niemal granatowy kolor, zaś fala pod-

muja nas oferty: „Stasiu chodź mam coś dobrego, może to, może tamto...“.

Nie mamy odwagi zagłębiać się w arabską dzielnicę handlową — Starą Medinę, odkładamy to na następny dzień. Cała niedziela schodzi nam na zwiedzanie i fotografowanie. Staramy się chwycić uliczne scenki, zakwefione kobiety, mężczyźni w kaftanach i dżelabach. Często odwracają się lub każą sobie płacić za wykonanie zdjęcia. Wieczorem odwiedzamy Kornisz, rozrywkową dzielnicę białych, w której o tej porze roku jest pusto ale jak zawsze drogo. Pozwalamy sobie na posiedzenie w dyskotece przy lampce wina. Po powrocie na jacht zapada decyzja — jutro wychodzimy. Pozostajemy jeszcze jednak dwie do-

najkrótsza droga nie zawsze jest najszybsza. W naszym przypadku najszybsza droga przebiega w strefie północno-wschodniego pasatu wiejącego w kilkusetmilowym pasie gdzieś między 10 a 20 stopniem szerokości geograficznej północnej.

Począwszy od Wysp Kanaryjskich jedynym strojem noszonym przez cały dzień są krótkie spodenki. Mimo to przy mniejszym wysiłku potłocze się strumieniami. Polewanie się wodą przynosi jedynie chwilową ulgę. Wreszcie, wchodzimy w strefę pasatu. Najpierw powiało z północy, a potem aż do Barbadosu przeważają wiatry z sektora wschodniego o sile 2—7 stopni Beauforta.

„ROZSZUMIAŁY SIĘ WIERZBY PŁACZĄCE...”

„Rozszumiały się wierzby płaczące” zaliczamy do tych wyjątkowych piosenek, które przeszły do historii polskiej pieśni wojennej nie jako utwór żołnierski, lecz jako typowo partyzancki. Dlaczego tak się stało? Jakie były dzieje tej pieśni? Kto napisał słowa i kiedy? Skąd się wzięła melodia i jaki jest życiorys kompozytora?

Do tej pory wiedzieliśmy jedynie, że polskie słowa napisał Roman Słezak najprawdopodobniej w okresie poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej, do zaadaptowanej przez siebie melodii marsza „Pożegnania Słowianki”, skomponowanego przez bliżej nieznanego rosyjskiego muzyka Agapkina.

Na te pytania otrzymałem odpowiedź dopiero niedawno, po ukazaniu się mojej antologii pieśni z lat 1939—1945 „Niech wiatr ją poniesie”. Różne informacje nadsyłane przez czytelników antologii wskazywały, że autor mieszkał w Nisku n. Sanem, w województwie rzeszowskim. Z zawodu był nauczycielem. W Nisku zebrałem relacje o pedagogicznej i muzycznej działalności Romana Słezaka zarówno przed wojną, jak i po wyzwoleniu, zmarł bowiem w 1968 roku. Jego żona, Helena Słezakowa, z zawodu również nauczycielka, przekazała mi oryginalną wersję piosenki i przypomniała okoliczności, w jakich powstała. Oto pierwotny tekst „Wierzb płaczących”:

Rozszumiały się wierzby płaczące,
Rozpłakała się dziewczyna w głos;
Od łez oczy podniosła świecące
Na żołnierski, na twarde, srogi los.

Nie ślicie wierzby nam,
Zalu — co serce rwie,
Nie płacz dziewczyno z bram
Bo na wojenne nie jest źle.

Do tańca graj nam
Armaty, stali szcęk,
Śmierć kosi niby łan,
Lecz my nie wiemy, co to lek.

Bloto, deszcz czy słoneczna splekota,
Zawsze słyhać miarowy, równy krok;
To maszeruje szara piechota
Na ustach śpiew, pogodna twarz, wesóły wzrok.

Nie ślicie wierzby... (ttd)

Autor tych słów urodził się 20 lutego w Baranowie Sandomierskim, w pow. Tarnobrzeg. Pochodził z biednej rodziny chłopskiej. Zdobywanie wykształcenia nie przyszło mu łatwo. Był uparty i w 1929 roku uzyskał świadectwo dojrzałości, kończąc seminarium nauczycielskie w Rudniku n. Sanem. Został nauczycielem śpiewu i muzyki. W latach trzydziestych objął posadę w Szkole Podoficerskiej

dla Młodoletnich nr 3 w Nisku, mieście powiatowym. W szkole prowadził zajęcia z muzyki, współpracował również z innymi zespołami szkolnymi i amatorskimi. Był zapalonym zbieraczem folkloru. Przez wszystkie lata wojny mieszkał w Nisku, należał do Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i prowadził zajęcia na konspiracyjnych kompletach nauczania. Od 1.IX.1945 r. uczył w Państwowym Gimnazjum, przekształconym w latach późniejszych w Państwowe Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Czarnieckiego. Współpracował z harcerstwem, opiekował się szkolnym chórem i orkiestrą, dla których pisał piosenki i opracowywał utwory muzyczne. W 1952 roku ukończył studia na wydziale biologii Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie i objął stanowisko dyrektora liceum. Pełnił tę funkcję ponad 15 lat. Zmarł w pełni sił 2 lipca 1968 roku. Na jego grobie przyjaciele i uczniowie zasadzili wierzbę płaczącą. Dziedzicem Liceum jest również obsadzony wierzbami.

Jak narodziła się ta piosenka? Był koniec roku 1937, względnie początek 1938 (dokładnie nie wiemy). Roman Słezak pracował wówczas w Szkole Podoficerskiej dla Młodoletnich nr 3, pisząc drobne utwory na wewnętrzny użytek szkoły, ale ich żywot z reguły był bardzo krótki. Istniało jednak zapotrzebowanie na aktualną żołnierską piosenkę. Dowództwo szkoły dało Romanowi Słezakowi konkretne zamówienie: potrzebna jest taka piosenka, którą by ewel mogli śpiewać przy każdej okazji, która weszłaby na trwałe do wojskowego repertuaru. O wojnie mówiło się coraz częściej. Nad Polską i Europą gromadziły się groźne chmury.

Roman Słezak nie miał kłopotów z napisaniem tekstu. Nie posiadał jednak jeszcze wtedy w dorobku oryginalnych kompozycji, nie miał doświadczenia w tej dziedzinie. Dopiero w latach 1945—1968 napisał kilka utworów na orkiestrę. Szukał przeto odpowiedniej muzyki. Wśród nut, które jego żona zachowała z czasów, gdy uczęszczała do seminarium nauczycielskiego, natrafił na rosyjski

marsz na orkiestrę dętą (bez tekstu), kompozycji niejakiego W. Agapkina. Marsz składał się z trzech części i nosił tytuł „Pożegnania Słowianki” (Praszczanie Słowianki) i został wydany w cyklu „romanse rosyjsko-cygańskie”.

Pierwsza część tego marsza była najbardziej melodyjna i łatwa do zapamiętania. Ją też Roman Słezak dostosował do napisanych przez siebie słów. Prawykonanie odbyło się podczas uroczystości w Szkole dla Młodoletnich. Piosenka chwyciła i z miejsca zyskała w Nisku popularność. Śpiewali ją żołnierze, śpiewali harcerze ze szkoły powszechnej, weszła również na stałe do repertuaru chóru miejscowego gimnazjum. W jakimś czasie potem dotarła także do sąsiednich jednostek wojskowych. Ale pełnię sławy przeżyła dopiero podczas wojny. Ponieśli ją do oddziałów partyzanckich byli słuchacze Szkoły Podoficerskiej i uczniowie innych niżańskich szkół. Była przerabiana, zmieniono w niej słowa, dopisywano nowe zwrotki. W moich zbiorach mam 17 przeróżnych wersji, w tym 3 wojskowe i 1 radziecką. Przewędrowała z chłopcami z lasu przez cały kraj. Przeszła być pieśnią żołnierską, pozostała do dzisiaj piosenką polskich partyzantów. Oto wersja najbardziej zbliżona do oryginału piosenki Romana Słezaka:

Rozszumiały się wierzby płaczące,
Rozpłakała się dziewczyna w głos.
Od łez oczy podniosła błyszczące
Na żołnierski, na twarde życia los.

Nie szumcie wierzby nam
Zalu, co serce rwie,
Nie płacz dziewczyno ma,
Bo w partyzantce nie jest źle.

Do tańca graj nam
Granaty, stenów szcęk,
Śmierć kosi niby łan,
Lecz my nie znamy, co to lek.

Bloto, deszcz czy słoneczna splekota,
Zawsze słyhać miarowy, równy krok,
To maszeruje ta leśna piechota,
Na ustach śpiew, spokojna twarz, pogodny wzrok.

Nie szumcie wierzby... (ttd)

I choć droga się nasza nie kończy,
Choć nie wiemy, gdzie wędrowki kres,
Ale pewni jesteśmy zwycięstwa,
Bo przelani już tyle krwi i łez.

Nie szumcie wierzby... (ttd)

O kompozytorze rosyjskim W. Agapkinie, twórcy marsza „Praszczanie Słowianki” do tej pory niczego nie wiedzieliśmy. Szukanie w rosyjskich i radzieckich słownikach muzycznych oraz encyklopediach nie

przyniosło spodziewanych rezultatów. Na żadne wzmianki nie natrafiłem. Odpowiedź na intrygującą nas (od 30 lat) zagadkę dał dopiero profesor Wiktor E. Gusiew z Leningradu, radziecki etnograf i badacz słowiańskiej pieśni partyzanckiej, autor interesującej rozprawy wydanej w Moskwie w 1965 roku pt. „Oswobodziciel-naja barba sławiańskich narodów w partizanskich piesnjach”. W liście z 25 lutego 1974 roku, przekazanym mi za pośrednictwem mgr Barbary Sroki z Kielc, pisze on, że „melodię marsza „Pożegnania Słowianki” napisał w 1912 roku młody wówczas muzykant, trębacz wojskowej orkiestry w mieście Tambowie, Wasyl Iwanowicz Agapkin” i dalej podaje informacje dotyczące biografii kompozytora.

Urodził się on około 90 lat temu (prawdopodobnie w 1884 roku, ale data ta nie jest pewna) we wsi Michajłowice, w guberni rjazańskiej, w rodzinie bezrolnego chłopca. Dzieciństwo spędził w Astrachaniu. Bardzo wczesnie odumarli go rodzice. Sierota zaopiekowali się żołnierze. Agapkin był wychowankiem 308 Astrachańskiego Pułku Piechoty, uzyskując stopień niższego rangą oficera. Swoją marzę „Pożegnania Słowianki” napisał pod wrażeniem krwawej wojny bałkańskiej (toczonej w 1912—1913 przy wsparciu Rosji przez Bułgarię, Serbię, Czarnogórę, Grecję przeciw Turcji) i poświęcił go kobietom Słowiankom, które utraciły w niej mężów i synów.

Komponując „Praszczanie Słowianki” Wasyl Iwanowicz Agapkin był uczniem Tambowskiej Szkoły Muzycznej. Po jej ukończeniu został trębaczem solistą w orkiestrze Kaukaskiej Dywizji Kawalerii, następnie pomocnikiem kapelmistrza, wreszcie kapelmistrzem (już po Rewolucji Październikowej). Skomponowaną przez niego melodię zaaranżował na orkiestrę dętą kapelmistrz J. I. Bogoradow. W 1913 roku odbyło się prawykonanie utworu na koncercie w Tambowie, przy czym Wasyl Agapkin wykonał partię solową na koncercie „Istonowym (Instrumentum detym — klawiszowym)”. Marsz zyskał z miejsca niebywałą popularność i natychmiast wszedł do repertuaru wszystkich orkiestr dętych Wielkiej Rosji, a sam Agapkin do końca życia pozostał już dyrygentem orkiestr wojskowych. To on właśnie, w dniu pogrzebu Włodzimierza Lenina (22 stycznia 1924 roku) kierował orkiestrą, która grała marsze żałobne. To on dyrygował orkiestrą 7 listopada 1941 roku, podczas parady wojsk radzieckich na Placu Czerwonym w Moskwie. On wreszcie był tym, który stroił kremlewskie kuranty. Mimo takiej popularności, ani w dokumentach archiwalnych, ani w słownikach muzycznych rosyjskich i radzieckich, nie za-



chowała się o nim żadna wzmianka. Nie znana jest także data jego śmierci.

Jak podaje prof. Wiktor E. Gusiew, dopiero niedawno, w oparciu o informacje zebrane od żyjących jeszcze kolegów Agapkina, odtworzono życiorys kompozytora. Ustalono przy tym, że prócz „Pożegnania Słowianki” skomponował on jeszcze walcia pt. „Sierotka”, który jest wspomnieniem z jego sierocego dzieciństwa. W 1974 roku, w numerze 3 czasopisma „Muzyczna Żyźń” (s. 4—5) po raz pierwszy w Związku Radzieckim opublikował ten życiorys G. Nagornyj w artykule pt. „Praszczanie Słowianki”.

Dane o Wasylu Iwanowiczu Agapkinie, rosyjskim kompozytorze niezwykłej melodii, która z naszymi „Wierzbami płaczącymi” żyje już w Polsce ponad 36 lat, drukujemy również po raz pierwszy, wyjaśniając wreszcie w ten sposób zagadkowy rodowód jednej z najbardziej popularnych polskich piosenek wojennych.

TADEUSZ SZEWERA

Cóż za wspaniała żegluga! Z pomysłnym wiatrem, pchającym nas na zachód, przynoszącym ochłodę, przepływamy średnio po 120 Mm na dobę. Pracy nie ma zbyt wiele. Jedynie rwące się fale foków sprawiają kłopot i zmuszają nas kilkakrotnie do ekwilibrystycznych wycieczek na top masztu (18 metrów nad pokładem). Naprawa przecierających się lin, pękających żagli, konserwacja urządzeń pokładowych i wewnętrznych, sterowanie, prowadzenie nawigacji, wreszcie niezwykle uciążliwe w warunkach jachtowych gotowanie, należały do naszych stałych obowiązków. Sytuacje nadzwyczajne zdarzały się wtedy, gdy nadciągały tropikalne szkwały.

ANTYLE

Dwudziestego pierwszego dnia żeglugi zaczynamy wypatrywać wyspy Barbados. Rankiem następnego dnia ukazuje się jako wąska ciemna plama przesłonięta mgiełką i zwiędzona chmurami. Obchodzimy ją od południa. Uderza nas olbrzymia ilość samolotów pasażerskich rozmaitej wielkości lądujących i startujących dosłownie co chwilę. Ta niewielka wyspa jest ważnym węzłem komunikacji lotniczej.

Po południu 15 listopada wchodzimy do portu Bridgetown. Momentalnie odczuwamy ujemne strony tropikalnego klimatu. Brak orzeźwiającego powiewu przy wysokiej temperaturze i dużej wilgotności powoduje, że czujemy się jak w łaźni parowej. Nasz jacht wzbudza duże zainteresowanie wśród załóg stojących tu statków. „Odkrywca” jest drugim, po „Opity” Leonida Teligi, jachtem polskim, który zawinął na tę wyspę. W porcie spotyka się jeszcze stare żaglowce, które dożywają tu swoich dni, przewożąc turystów lub towary między wyspami Morza Karaibskiego. Ich załogi to najczęściej rodziny lub

grupy młodych ludzi wyglądające na hippisowskie komuny. Dziwią się polskiej banderze, wpytują o przebieg rejsu, częstują owocami.

Po odprawie celnej i paszportowej oraz zatankowaniu wody przechodzimy na kotwicowisko jachtów naprzeciw yachtclubu i hotelu Hiltona. Mamy okazję porównania dwu światów ludzi przybywających na te wyspy. Z jednej strony goście hotelowi — głównie podstarzałi Ame-



rykanie noszący się jak nastolatki, śmieszni i bladzi. Dzień spędzają pod parasolami na plaży, kąpieli zażywają w specjalnych basenach napełnionych wodą morską, a wieczory spędzają na hotelowym moście. Z drugiej strony żeglarze z kilkunastu jachtów rozmaitych bander — „dzieci oceanów”. Niedbale ubrani, w większości biedni ale weseli, towarzyscy, czer-

piąją prostą radość z żeglowania po świecie.

Cap Haitien zamykało listę miejsc, w których byliśmy przed osiągnięciem Kuby. Zegnaliśmy archipelag o ciekawej historii, pełen dziwnych nazw, tajemniczych zatok i pirackich „skarbów”. Liczne zatoki okolonerafami z trudnymi do wykrcia przejściami stanowiły doskonale miejsce do uprawiania piractwa. Po piratach przyszedł Europejczyki walczący przez długie lata między sobą o te wyspy. I wreszcie nadeszły czasy szczególnie silnego napływu turystów. Pocięszające jest tylko to, że jeszcze przez długie lata przyroda będzie się mogła rządzić tu własnymi prawami, zanim gęsta sieć hoteli, dróg, zakładów usługowych pokryje te cudowne wyspy.

Na horyzoncie ukazują się szczyty Sierra Maestra. To już Kuba, ale do celu podróży — Hawany będziemy szli jeszcze prawie tydzień. Skończył się pasat, weszliśmy w strefę wiatrów zmiennych. Najpierw złapała nas cisza między Wlk. Inaguą a Kubą. Resztki paliwa musieliśmy oszczędzać na manewry portowe w Hawanie. Spędzamy dzień w ciszy i upalnym słońcu rozkoszując się ciepłem i spokojem lazuruowego morza. Obserwujemy barrakudy — najsmaczniejsze ryby tych wód, którą krąży wokół jachtu. Długie sylwetki przypominają naszego szczupaka, ale są bardziej kolorowe i ciekawskie. Nasz boczek wędzony (czteromiesięczny, jeszcze z kraju) wyraźnie im nie smakuje. Zawodzą również inne metody połowu.

HAWANA

Wieczorem zaczyna wiać wiatr z północnego zachodu. Robi się chłodniej. Następnego dnia zbliżamy się do bardzo wąskiego przejścia między

Kubą a Wyspami Bahama. Przejście — Kanał Starobahamski ma szerokość kilku mil. Zaczyna się mordercze forsowanie przejścia pod wiatr. Rąfy straszą z każdej strony, a oznakowanie nawigacyjne prawie żadne. Jak na złość zaczyna się awaria. Momentalnie tracimy szybkość i wysokość. Przelewające się przez pokład fale porywają żagle i w ciągu paru sekund z żagla zostają szmaty. Po dobre wyczerpującej żeglugi mijamy wreszcie wąskie gardło. W południe składa nam powietrzna wizyta śmigłowca US-Coast-guard z Miami — widomy znak, że Amerykanie wciąż patrolują wody wokół Kuby.

Rankiem 14 grudnia ukazuje się nisko nad morzem białe pasmo drapaczy chmur olbrzymiejących w miarę zbliżania się. Na pokładzie i pod pokładem generalne porządki, pucowanie, sprzątanie i mycie — słodka woda nie jest już limitowana. Płynąc bardzo blisko brzegów podziwiamy krajobraz i zabudowę osiedli De Hawany wchodzących w południe na trzy dni przed zapowiadzanym (jeszcze w kraju) terminem wejścia.

Port hawański leży nad rozległym głębokim rozlewiskiem w głębi ładu, do którego prowadzi wąski naturalny kanał. Wejścia do portu strzeże historyczne forty. W Forcie del Morro podnoszą flagę polską i kubańską, salutując tym nasz mały jacht. Płyniemy wzdłuż bulwaru witanii przyjaznymi gestami spacerujących ludzi. Nasze przyspieszone wejście zaskoczyło trochę gospodarzy i władze portowe zwłaszcza, że jachty są bardzo rzadkimi gośćmi w Hawanie. Wzburzamy bardzo duże zainteresowanie. Portowcy i marynarze wyrażają gestami i okrzykami „Valente Polacco” swoje uznanie. Dziennikarze zjawiają się zaraz po załatwieniu formalności.

Wszystkie dwanaście dni pobytu na Kubie wypełniły nam spotkania, wizyty, wycieczki i... posiłki. Dysku-

sje podczas spotkań z działaczami organizacji młodzieżowych dotyczyły głównie spraw ruchu młodzieżowego w naszych krajach oraz wychowania morskiego. Kuba otoczona ze wszystkich stron wodą stawia pierwsze kroki w kierunku wykorzystania zasobów morskich. Przede wszystkim potrzebują dobrej floty rybackiej i kadry dla niej. Nasze duże doświadczenie w dziedzinie rozwijania zainteresowań młodzieży sprawami morza oraz przekazane sugestie co do konkretnych rozwiązań dotyczących wychowania morskiego młodzieży, stały się początkiem nowych form współpracy.

Nas interesowały przede wszystkim ich osiągnięcia w dziedzinie oświaty i wychowania. Stąd też mieliśmy wiele spotkań z młodzieżą rozmaitych szkół. Podziwialiśmy ich olbrzymi wysiłek w zlikwidowaniu analfabetyzmu i w obecnym kształceniu młodzieży.

Blókada Kuby, „zarządzona” przez OPA daje o sobie znać. Kuba przeżywa wprawdzie liczne kłopoty aprowizacyjne (np. nie ma prawie sklepów z wolną sprzedażą — obowiązuje system kartkowy), ale wrodzona pogoda i optymizm pozwala Kubańczykom zapominać o kłopotach bieżących i widzieć jaśniejszą przyszłość. Zawsze mają chęć na rozrywkę. W kabinach toczono, wszędzie słyhać muzykę i śpiew. („Cuba, que linda Cuba” — jaka piękna Kuba) Słynny kabaret „Tropicana” jest zawsze pełen rozbawionego i tańczącego tłumu. Słynny bulwar Malecon wieczorami jest rojny, pełno młodzieży, muzyki i zabawy.

To wszystko, z czym zetknęliśmy się na Kubie — gościnne przyjęcie, rozmach ich poczynań oraz cudowne ostatnie dwa dni „urlopu” w słynnym Varadero — sprawiły, że Hawanę opuściliśmy z żalem. W podróż powrotną wyruszamy 26 grudnia wieczorem. Hawana żegna nas feerią światła.

JAN KŁOSIŃSKI

HISTORIA JEDNEJ SENSACJI

G. MALINICZEN

Przed kilku miesiącami w prasie całego świata pojawiły się następujące notatki:

„W czasie prac wykopaliskowych w pobliżu miasta Rozlog bułgarscy archeolodzy odkryli szkielet niezwykłego człowieka. W jego czerepie znajdował się tylko jeden oczodoł w centrum czoła. Długość szkieletu — 172 cm.

TASS — Reuter“

A jaki był dalszy ciąg tej sensacji?

Archeolodzy, rzecz prosta, zastawili zdumiewające znalezisko z antycznymi mitami greckimi i przypomnieli sobie, że takich właśnie cyklopów spotykał Odys na swej drodze do rodzinnej Itaki.

Wszystko to było tak niezwykle, że archeolodzy wstrzymali prace i zawiadomili o niezwykłym odkryciu dziennikarzy. Korespondent Bułgarskiej Agencji Telegraficznej natychmiast przybył na miejsce. Oczom jego ukazał się na dnie głębokiego dołu szkielet, który jedynym otworem czaszki zdawał się wpatrywać w niebo. Ponadto nos cyklopa był równie niezwykły, jakby podwójny i płaski.

Nazajutrz agencja nadała, znana już deszę o cyklopie, która wywołała zrozumiałe poruszenie nie tylko w świecie uczonych.

Dyżurny redaktor, który przekazał tę wiadomość w świat postanowił jednak sprawdzić rzetelność informacji. Zatelefonował więc do słynnego bułgarskiego antropologa, Piotra Bojewa. Uczony ten czytał już w porannych gazetach o niezwykłym znalezisku. Nasunęły mu się poważne wątpliwości i chętnie przysłał na propozycję udania się do Rozlogu, aby samemu obejrzeć dowody materialne.

Po pewnym czasie antropolog zatelefonował do agencji i przekazał następujące sprostowanie:

„W trakcie dokładnego zbadania szkieletu wykopanego w Rozlogu okazało się, iż czerep jego posiada dwa oczodoły jak czaszka każdego normalnego człowieka. Rozgorączkowanie archeolodzy nie zwróciło uwagi na pewien drobny, ale istotny szczegół. Głowa ta była kiedyś odwrócona, a następnie przyłożona do pierwszego kręgu szyjnego. Najwidoczniej człowieka tego skazano i po egzekucji złożono go do grobu w tak niecodziennej pozycji. Oto dlaczego oczodoły „patrzyły w ziemię“, a ogromny otwór potyliczny wycelowany był w niebo. On to właśnie został wzięty przez archeologów za jedyne, cyklopie oko. Oczywiście, w stanie silnej emocji łatwo było dostrzec w tym szkielecie antycznego potwora. Jak widać archeolodzy muszą wobec swych rewelacji zachowywać zimną krew.“

Tak zmarła sensacja powołana do życia przez nie dość dokładne zbadanie faktów i przez mity, które nadal jeszcze zwodzą ludzi swym urokiem.

(„Znanie siła“)

„Służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych zasilają funduszami Pawła VI, gdy był jeszcze kardynałem Montini i kierował antykomunistycznym ruchem młodych katolików włoskich“. Informuje o tym amerykański dziennikarz, Stanley Carnow w jednym z ostatnich numerów gazety „New Republic“. „Centralne Biuro Wywiadowcze (CIA) finansowało działalność Montiniego od 1956 do 1961 roku“.

Enuncjacji Carnowa, autorytatywnego i postępowego dziennikarza amerykańskiego, Watykan nie zdementował, nawet gdy zamieściła je na swych łamach radykalna gazeta włoska „Liberazione“. Przedstawiciele CIA ze swej strony oświadczyli: „Nie my dawaliśmy pieniądze Montiniemu, a bezpośrednio Białemu Domowi“. Trudno dokładnie określić sumy, które od Amerykanów otrzymał Montini, ale liczba tych dolarów ma co najmniej sześć zer.

Życie Giovanni Battisty Montiniego kryje wiele tajemnic. Wszystko zaczęło się w dniu, w którym wiosną 1933 roku trafił pod opiekę kardynała Eugenio Pacelliego. Pacelli, będący wówczas ministrem spraw zagranicznych Watykanu, któremu sześć lat później sędzone było zostać papieżem Piusem XII, wyróżniał młodego, 36-letniego księdza. Po ukończeniu studiów teologicznych w Uniwersytecie Gregoriańskim i otrzymaniu dyplomu z zakresu nauk filozoficznych, jako jeden z najlepszych studentów akademii duchownej — tej uczelni watykańskich dyplomatów — Montini już w 1925 roku został asystentem włoskiej federacji uniwersytetów katolickich.

Kardynał Pacelli był jednak zdania, iż Montini zastępuje na bardziej odpowiedzialne stanowisko. Toteż poprosił go o spakowanie rzeczy i przeniesienie się do Watykanu, gdzie powierzył mu funkcję wykładowcy w akademii duchownej. Po trzech latach Pacelli mianuje go swoim pomocnikiem, czyli praktycznie — zastępcą ministra spraw zagranicznych Watykanu. Jego pozycja wzmacnia się jeszcze bardziej, kiedy Pacelli zostaje papieżem.

Po raz pierwszy nawiązał Montini kontakt z amerykańską służbą wywiadowczą w 1942 roku. W owym czasie świat był ogarnięty pożogą wojenną, której nie było widać końca. Rok wcześniej, 7 grudnia 1941 roku, japońska flota morską nieoczekiwanie zaatakowała amerykańską bazę marynarki wojennej w Pearl Harbor,

wciągając do wojny Stany Zjednoczone i zmuszając swoich sojuszników. Niemcy i Włochy do wypowiedzenia wojny USA. Cała Europa znajdowała się w tym czasie pod butem wojsk niemieckich i włoskich.

W północnej Afryce 8 armia brytyjska zadała potężne ciosy wojskom niemiecko-włoskim, a tysiące kilometrów od Afryki, na ulicach Stalingradu toczyła się krwawa bitwa o każdy dom. Dobrze poinformowani obserwatorzy polityczni, a Montini był jednym z nich, wiedzieli, że bitwa stalingradzka wywrze decydujący wpływ na dalszy przebieg II wojny światowej. Montini rozumiał, że nastąpił moment zbadania gruntu, zrobienia jakiegoś przyjaznego gestu wobec Amerykanów i nawiązania z nimi kontaktu. Wszak Stany Zjednoczone

nu, który był w owym czasie niezależnym centrum dyplomatycznym znajdującym się w faszystowskim Rzymie. Jeden z wyższych pracowników watykańskiego ministerstwa spraw zagranicznych zaproponował Amerykanom dostarczenie ważnej informacji, dotyczącej bombardowań obiektów strategicznych w Japonii. Informację tę zdobyli przedstawiciele Watykanu w Tokio“.

W ten sposób idea Montiniego przybrała realny kształt misji szpiegowskiej w dalekiej Japonii na rzecz Amerykanów. Echo bombardowań strategicznych obiektów w Japonii, o których informowały Watykan, nigdy by nie razło uszu „katolickich Europejczyków“.

W 1942 roku CIA jeszcze nie istniało i wywiad prowadziło Biuro Służby

kształcono w CIA. Amerykanie gospodarowali w Zachodniej Europie. Watykanowi udało się nawiązać tak bliskie stosunki z USA, że Amerykanie przekazywali przedstawicielom Watykanu, np. we Włoszech, ogromne ilości artykułów żywnościowych i znaczne sumy pieniędzy. Przy pomocy Amerykanów Pius XII inicjował na Półwyspie Apenińskim szeroką kampanię propagandową, skierowaną przeciwko komunizmowi, a popierającą partię chrześcijańsko-demokratyczną. Żeby pozostawać w dobrych stosunkach z Amerykanami, monsignore Montini nie potrzebował się już interesować Japonią, gdzie ponad 100 tysięcy spokojnych mieszkańców Hiroszimy i Nagasaki padło ofiarą bomb atomowych. Teraz Watykan stał się niezawodnym gwarantem amerykańskiej polityki we Włoszech i dążył do zdobycia absolutnej władzy nad katolikami. Na pełnych obrotach rozkręcano przygotowania do pierwszych po wojnie wyborów parlamentarnych, wyznaczonych na 18 kwietnia 1948 roku.

Związki Montiniego z CIA, jak pisze S. Carnow, nie uległy zerwaniu nawet wtedy, gdy kardynał odszedł ze stanowiska zastępcy ministra spraw zagranicznych, zostając arcybiskupem Mediolanu. Rokrocznie, od 1956 do 1961 roku, setki tysięcy dolarów przewlemano z kont amerykańskiego wywiadu w bankach szwajcarskich na adres mediolańskiego arcybiskupa. Wszystkie te pieniądze przeznaczano na prowadzenie politycznej i antykomunistycznej działalności organizacji katolickich, którym patronował Montini. To, że wywiad amerykański stracił tyle pieniędzy w Mediolanie, nie wzbudza zdziwienia, bo właśnie w tym mieście wpływy sił lewicowych były i są bardzo silne. W 1961 roku z tych i z wielu jeszcze innych powodów, które by wymagały szerszego omówienia, CIA przestało zaopatrywać Montiniego w dolary.

Dla pełnego obrazu należy jeszcze wyjaśnić, w jaki sposób udało się Carnowowi zdobyć całą tę informację i dlaczego podał ją do ogólnej wiadomości właśnie teraz? W Waszyngtonie, w domu przy Connecticut-Avenue, mieści się biuro niejakiego Thomasa Maccoy. Jest to bliski przyjaciel Stanle'a Carnowa. Maccoy przez długi czas wykonywał określone zadania dla CIA we Włoszech. Z tytułu tych zajęć często przebywał w Rzymie, gdzie stykał się z działaczami politycznymi i duchownymi różnej hierarchii. W 1968 roku, wskutek protestu przeciwko udziałowi USA w wojnie w Wietnamie został usunięty z CIA. Od tego czasu zajmuje się działalnością polityczną w formacjach ugrupowań demokratycznych USA. Maccoy i Carnow spotykają się bardzo często. Od czasu do czasu Maccoy przekazuje mu tajne informacje z działalności CIA, które Carnow publikuje w odpowiednim momencie, żeby uderzyć jednym, a pomóc innym. Dlatego akurat teraz zdecydował się Maccoy poinformować opinię publiczną o związkach papieża z CIA? Rzecz w tym, komentuje publicysta mediolański „Tempa“, że ostatnimi czasy między przerozniętymi rywalizującymi ze sobą rodzajami służb wywiadowczych USA, a także poszczególnymi działaczami politycznymi trwa zaciekła walka, która znajduje zaledwie nikielne odbicie na łamach prasy.

JERZY CZECH

TAJNA MISJA NA DWÓCH FRONTACH

mogły zostać jednym ze zwycięzców, a w tym wypadku Kościołowi było wygodnie już zawczasu zawrzeć z nimi porozumienie. Oczywiście zrealizować podobny zamysł było w owym czasie co najmniej nielato. Watykan nie zajmował pozycji antyhitlerowskiej; w Słowacji wierny Watykanowi monsignore Tiso stał na czele rządu, skłóconego przez nazistowskich okupantów, w katolickiej Chorwacji — tyśiące serbskich partyzantów wymordowały bandy ustaszowców Pavelica, ochocho błogosławione przez faszystowskich księży.

Dlatego to właśnie Montini musiał rozstrzygnąć nielato dyalekt: trzeba było koniecznie pójść na zbliżenie z Amerykanami, ale tak, żeby nie wiedzieli o tym nazisci, wpadliby bowiem we wskieśłość dowiadując się o potajemnych związkach Watykanu z USA. Przy tym wszystkim nie można było godzić w interesy Europy, a tym bardziej w interesy Włoch. Wszystko więc powinno dotyczyć jakiegoś oddalonego kraju. Na przykład Japonii.

„W końcu 1942 roku — twierdzi R. Harris Smith, były współpracownik CIA, który obecnie jest wykładowcą w Kalifornii — Waszyngton otrzymał niewiarygodną propozycję z Watyka-

Strategicznego USA. Jego przedstawicielem we Włoszech był Earl Brennan, dyplomata, przebywający już od dłuższego czasu w stolicy Włoch. Właśnie on miał utrzymywać kontakt z monsignorem Montinim i nadzorować przebieg akcji, zakodowanej, nie wiadomo dlaczego, szyfrem „Okre“.

Informacje z Tokio dostarczał do Watykanu kurier dyplomatyczny. Montini studiował je i przez swego zaufanego człowieka — przekazywał irlandzkiemu ambasadorowi przy Watykanie. Ten z kolei przekazywał je przez swego kuriera do Dublina. Z Dublina informacje przekazywano do Londynu, gdzie je odszyfrowywano, następnie kodowano innym szyfrem i przesyłano na koniec do Waszyngtonu. Tam informacja trafiała do rąk oficerów służby lotnictwa, stając się podstawą do operacyjnych działań bojowych na froncie Oceanu Spokojnego.

„Cała ta skomplikowana procedura — kontynuuje Smith — zajmowała w istocie kilka dni. Za to Waszyngton otrzymywał niezwykle ważne informacje o Japonii w ciągu całej wiosny 1943 roku“.

Po zakończeniu wojny, w 1947 roku, Biuro Służby Strategicznej USA prze-

rzy. Uznać je trzeba za bardzo charakterystyczne.

Natomiast poza granicami Francji — podkreśla się przede wszystkim niepokój, czy przysłyły prezydent podola tak trudnym problemem, jak: konfrontacja z USA na tle kryzysu paliwowego lub też żądanie W. Brytanii — w związku ze zmianą rządu — ponownego przedyskutowania warunków przystąpienia do EWG. Odpowiedź na te pytania — pisze prasa japońska — jest ważna nie tylko dla Europy.

Śmierć prez. Pompidou przypadała na okres poważnych, omawianych już na tym miejscu, rozbieżności wśród partnerów atlantyckich. Odzwierciedleniem skali tych sprzeczności są jubileuszowe obchody ówczesnego sekretarza generalnego NATO w Brukseli. Zamiast szumnych uroczystości, jak to wcześniej zapowiadano, odbyło się skromne spotkanie stałych przedstawicieli państw członkowskich. Oba natomiast szczególnie liczące się przemówienia z tej okazji: Nixona w Waszyngtonie i Luns'a (sekretarza generalnego NATO) w Brukseli zawierały minorowe akcenty. Pierwszy apelował, aby nie zagubić osiągnięć przeszłości w polityce wąsko pojętych narodowych interesów, atakując tym samym raz jeszcze stanowisko swoich europejskich partnerów. Drugi — nawoływał do specjalnych wysiłków, bez których przyszłość atlantycka — wskutek obecnych rozbieżności — może być zagrożona.

Jedynym, zresztą niepewnym, optymistycznym akcentem dla obu tych partnerów w dniach jubileuszu

była informacja o możliwości spotkania się w czerwcu w Ottawie ministrów państw członkowskich, na którym podjęto by znów dyskusję o „karcie atlantyckiej“.

Podczas gdy w „NATowskiej rodzinie“ coraz to więcej kłopotów — kraje socjalistyczne, wierne zasadzie współpracy ze wszystkimi, którzy są nią zainteresowani — rozwijają stosunki z państwami o odmiennym ustroju. Przykładem tego może być wizyta w Warszawie premiera Rządu szwedzkiego — Olofa Palme. Dala ona okazji do przedyskutowania sytuacji międzynarodowej i wzajemnych kontaktów. W tym czasie podpisano 10-letni program rozwoju współpracy gospodarczej, przemysłowej i naukowo-technicznej między obu krajami.

Wspólny komunikat podkreśla, iż premierzy polski i szwedzki wyrazili przekonanie, że: „program ten stanowi dobrą podstawę dla dynamicznego rozwoju kooperacji przemysłowej, jak również stosunków gospodarczych w innych dziedzinach“.

Wyniki warszawskich rozmów z całą pewnością stanowić będą nie tylko istotny wkład w rozwój stosunków bilateralnych, lecz również w zbliżenie między narodami. Zwłaszcza regionu bałtyckiego, gdzie współpraca wielostronna zapoczątkowana została zawarciem konwencji w Gdańsku o rybołówstwie i ochronie zasobów żywych oraz konwencji z Helsinek o zapobieganiu zanieczyszczeniu Bałtyku.

W. SŁAWSKI

FRANCJA PO POMPIDOU MINOROWE CWIERCIEWCZE WARSZAWA — SZTOKHOLM

Wiadomość o śmierci prez. G. Pompidou przysłała nieoczekiwanie i wywołała wstrząs na całym świecie. Odszedł bowiem wielki polityk i realista, mąż stanu, który wniósł ogromny wkład w kształtowanie pokoju i bezpieczeństwa narodów. Jeszcze nie tak dawno w Picundzie omawiał plany dalszego rozwoju stosunków francusko-radzieckich, wierząc, że sam będzie mógł je realizować. Niestety, ciężka choroba, która zaatakowała nagle, przerwała mu życie.

Konstytucja francuska w takim przypadku przewiduje, że tymczasowo funkcje szefa państwa spełnia przewodniczący senatu. On też — Alain Poher — otworzył kampanię wyborczą. Jak wiadomo — prezydent Francji wybiera się w wyborach powszechnych, które odbywają się w dwóch turach. Pierwszą ustalono na 5 maja, drugą — na 19 maja. Wtedy dopiero będziemy znali nazwisko nowego szefa państwa. O fotel prezydencki ubiegają się będzie kilku kandydatów. Wśród nich m. in.: J. Chaban-Delmas, były premier oraz E. Faure, przewodniczący Zgromadzenia Narodowego. Oba reprezentują blok gaullistowski, chociaż tylko pierwszy z wymienionych jest członkiem UDR. Francuska Partia Komunistyczna opowiedziała się za wystawieniem już w I turze głosowania wspólnego kandydata komunistów, socjalistów i radykałów. W chwili,

kiedy piszemy te słowa, uważa się, że kandydatem lewicowy będzie przywódca socjalistów — F. Mitterand. Zgłosiły swoich kandydatów różne małe ugrupowania, ale te marginalne postacie pozostają bez szans.

Wielu komentatorów, zastanawiając się na łamach prasy francuskiej, kto ostatecznie zasiądzie na fotelu prezydenckim, rozważa przysłą politykę Francji. Znamienne, że przeważa opinia o potrzebie kontynuowania dotychczasowego kursu. Pisze o tym np. „La Nation“ w następujących słowach:

„Francja powinna być czołowym rzeczniczką Europy, Europie skonfederowanej i uwolnionej od miarę ponadnarodowości. Dla następców Pompidou nie może być zmian polityki zagranicznej“.

A „Les Echos“ dodaje:

„Zmysł defensywny w połączeniu ze zmysłem kontraktaku charakteryzowały przez 5 lat politykę zagraniczną i prawdopodobnie będą dominowały w przyszłości. Głębokość w stosunku do dolara? Z pewnością, gdyż jest on na razie zbyt silny, ale brutalne przykrócenie amerykańskich prób ingerowania w sprawy Francji i Europy“.

MAGAZYN



MALI ALE DOBRZY

Angielscy reżyserzy filmów oświatowych słusznie szcyrą się swoim małym wzrostem. Dzięki tym naturalnym warunkom znacznie łatwiej jest im wykonać zdjęcia grybni muchomora i spodu jego kapelusza, bez trudu też mogą zawrzeć bardziej intymny kontakt z bakteriami żyjącymi na białym serze. Tak więc w sumie ich wzrost jest odwrotnie proporcjonalny do wyników ich pracy. A jak już koniecznie trzeba nakreślić piramidę egipską czy krowę, to mają zawsze w rezerwie jednego wyższego koleżę, zwanego dowcipnie „długim rezerwowym”.

CIĄGLE JESZCZE POSZUKUJĄ

Kinematografia eskimoska ciągle jeszcze nie może nabrać rozmachu. I tak jej twórcy nie znają potęgi charakterystyki i nie korzystają z niej. Gdy trzeba postarzyć młodego aktora stosują metodę realistyczną, to znaczy zalecają mu, by

przez określony etap czasu prowadził się niemoralnie i żył niehygienicznie. Daje to niezłe wyniki ale kosztem zdrowia i szczęścia. Metody odmładzania starych aktorek są



jeszcze bardziej drastyczne. Biorą aktorkę i... nie, nie wypada pisać nam o takich metodach.

ZE WSPOMNIENI NASZEGO SZWAGRA

W ostatnią sobotę nasz szwagier siedział w domu i nudził się. Twierdził, że nawet cieszył się, gdy przyszedł do niego M. Mastroiani z butelką wina. Pogadali, wypili, a potem M. Mastroiani na poże-

gnanie uszczypnął żonę szwagra w policzek i wrócił sobie do swoich.

JANEK I FASOLKA

Często sami nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak olbrzymi wpływ wychowawczy mają filmy kręcone dla naszych milusińskich. Donoszą nam, że Janek Szarmata z grupy średniaków przy przedszkolu im. Dziecięcych Lat Mikołaja Kopernika, po obejrzeniu jednego z takich filmów, wziął fasolkę, wsadził w ziemię i podał wodą.

WZRUSZAJĄCE OŚWIADCZENIE

Znana gwiazda estrady i ekranu, najzgrabniejsza babcia świata, jednym słowem Marlena Dietrich, oświadczyła ostatnio w wywiadzie prasowym, że dbała o swoje bosko zgrabne nogi i myła je codziennie przede wszystkim z myślą, by podobać się publiczności polskiej. „Małe Kino” ze wzruszeniem dziękuje za tę wieloletnią troskę. Ale udermy się w piersi. Ilu z nas (szczególnie na wiosnę) dba o swoje stopy z myślą o Wielkiej Aktorce?

KOŃ NIE JEST GLUPI

Konie biorące udział w serialu „Czarne Chmury” dyskutują teraz zażarcie o swoim udziale i współpracy, wspominając niektóre nieudane klucsy i galopy. Czasem dochodzi nawet do krytyki aktorów, że siedzieć na grzbiecie to siedzieli, ale grać to grali gorzej od rozmówców. Na szczęście czujny pracownik stajni w tym momencie uspokaja gwar okrzykiem: „Cisza konie! Nie wasza rzecz krytyka!”



SATYRA RADZIECKA

KRÓTKO MÓWIĄC

Słuchy chodzą po naszych nogach. Zwracaj na siebie uwagę nie tylko wtedy kiedy przechodzisz przed lustrem. Nie bądź tak zazdrosny, aby zabraniać żonie przy pożegnaniu mężczyzny używania zwrotu: „Do widzenia”.
Mówiąc — uważaj, czy ludzie kręcą głowami z podziwem, czy po prostu kręcą nosami. Pamiętaj: powolnością nie przedłużysz życia!
Strasliwe przeoczenie: rzeka zapomnienia dotąd nie jest ubezpieczona przez ratowników. Najprzyjemniejszy rodzaj samobójstwa: utonąć w syropie pochlebstw.
Gram delikatności często oszczędza kilogram środków uspokajających.
Nowy dyrektor zintegrował kolektyw. Niestety, przeciwko sobie.
Myśli się nie pożyczają. Albo się dostaje je darmo, albo się kradnie.
Kiedy się nie ma własnej duszy — lezie się w cudzą.
Uczniowie niczego nie zapamiętują z taką łatwością, jak omyłek nauczyciela.
Odczyt o problemach osiedlenia się ludzi na innych planetach nie doszedł do skutku. Wykładowca nie przybył skutkiem gołodzi.

A. RASPIEWIN, C. MELAMED, A. LIGOW



SENNIK LUBELSKI I POEZJA

Lubelska „Kamena” rozpoczęła druk „Sennika egipskiego”. Po „Smaku miłości i lez” jest to już następna rewelacyjna pozycja tego tygodnika.
Wymienione między innymi takie hasła jak: bakterie, balon, autem jechać świadczą, że nie jest to jednak sennik z czasów faraonów. Trochę nas to rozczarowało.
W tym samym numerze „Kamena” czytamy wiersz, który się kończy słowami: zapięciem koszulę, usiłowałem zasnąć — pachniało kapuśniakiem.
Nie zapachniało nam to poezją!

SZYFR

W „Życiu Warszawy” ukazało się następujące zawiadomienie: „Ośrodek Szkolenia Kadr SIMP w Warszawie (...) zawiadomia, że

przyjmuje zgłoszenia na (...) 9-tygodniowy, II-etapowy kurs dla projektantów systemów APD. Szczegółowych informacji udziela Dział Szkolenia ODK SIMP.
I o co w tym wszystkim chodzi!

HASELKO

W powodzi różnych hasel znaleźliśmy i takie, lansowane przez „Express Wieczorny”:
„Zmienny zdrowia los, poprzyj więc NFOZ!”
Intencja słuszną, ale od wszelkich chorób i takich wierszy chroń nas Eskulapie.

OSTRZEŻENIE

W mindompu towarowym na Widzewie, róg ulicy Szpitalnej i Armii Czerwonej, znajduje się karika z następującym tekstem: „Nie dotykaj zwisów!”
Hm.

NOWA MAPA POLSKI

„Dziennik Łódzki”:
„W Łodzi — jedynym (podkr. Powiększenia) miastem w kraju — już po raz piąty i kwintalnie obchodzone „Dzień mężczyzny”. I tak po cichu dokonano wielkiej rewolucji geograficznej, która wreszcie wyleczy nas z łódzkiego kompleksów.

SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE SEX W LITERATURZE

DIDEROT

KUBUŚ FATALISTA I JEGO PAN

Bajka o Pochewce i Koziku. Jednego dnia Pochewka i Kozik zaczęli się sprzezać: Kozik rzekł: — Pochewko, moja lubciu, jesteś szelma, raz po raz zdarza ci się przyjąć innego Kozika... — Pochewka odparła: — Drogi Koziku, jesteś lajdak, bo każdego dnia odmieniasz Pochewkę... — Pochewko, co innego mi przysięgała... Koziku, tyś pierwszy zawiódł moje zaufanie... — Klótnia ta zaszła przy stole; owóz staru-

szek, siedzący pomiędzy Pochewką a Kozikiem, ozwał się, aby rzec co następuje: — I ty, Pochewko, i ty, Koziku, do brzeście czynili szukając odmiany, skoro odmiana była wam przyjemna, ale popełniliście błąd, przyrzekając, iż się nie odmienicie. Koziku, czyż nie wiedziałeś, że Bóg cię stworzył tak, iżbyś się nadal dla różnych Pochewek, a ciebie, Pochewko, abyś mogła wziąć w siebie niejednego Kozika? Uważaliście za szalenców niektóre Koziki, które składały śluby, iż będą się w ogóle obchodzić bez Pochewki, i za szalone niektóre Pochewki, które ślubowały, iż zamkną się dla wszelkiego Kozika; a nie zastanowiliście się, iż byliście niemal tak samo szaleni, kiedyście przysięgali, ty, Pochewko, iż będziesz się trzymała jednego Kozika, ty, Koziku, że będziesz się trzymała jednej Pochewki.

Tu pan rzekł do Kubusia: — Twoja gadka nie jest zbyt moralna, ale jest ucieleszna. Nie wiesz, jaka szczególna myśl przeszła mi przez głowę. Żenię cię z naszą gospodynią; i zastanawiam się, co by uczynił mąż, który lubi mówić, przy żonie, której się gęba nie zamyka (...).

Nazajutrz pani Zuzia kiwa na mnie i mówi: — Kubusiu, nie masz co do roboty?

— Nie, pani sąsiadko; w czym mogę usłużyć.
— Chciałabym... chciałabym... — i mówiąc to chciała- bym ścisnąć mi rękę i spoglądała dość szczególnie — chciała- bym, abyś wziął nóż i pomógł mi wyciąć parę narzęczy wil- kliny. To za ciężka robota na mnie sama.

— Bardzo chętnie, pani Zuziu...

Biorę nóż i ruszamy. Po drodze Zuzia opiera się głową o moje ramię, bierze mnie pod brodę, ciągnie za uszy, daje kusańce. Przybywamy. Miejsce było spadziste. Pani Zuzia wy- ciągnęła się na ziemi z nogami nieco rozsuniętymi, z rękami pod głową. Ja nieco poniżej uwijam się z moim nożem. Zuzanna przyciągnęła nogi ku sobie zbliżając pięty do poślado- ków; wzniesione kolana czyniły spódniczkę mocno kusą. Ja ciągle macham nożem, prawie na oślep. W końcu Zuzanna rzecze: — Kubusiu, kiedy ty skończysz?

— Kiedy pani zechce, pani Zuziu.
— Nie widzisz — rzekła półgłosem — że ja chcę, abyś skończył?... — Kończę tedy, nabieram tchu, kończę jeszcze raz, pani Zuzia zaś...
— Wzięła ci dziewięctwo, którego nie miałeś?
— W istocie, ale Zuzia nie dała się oszukać, uśmiechnęła się i rzekła: — Ladnie sobie zakpiłeś z mego kpiarza; hultaj z ciebie.

Przełożył: Tadeusz Boy-Zeleński

(Fragmenty)

Denis Diderot (1713-1784), francuski pisarz, filozof materia- lista, jeden z czołowych przedstawicieli Oświecenia. Współ- twórca Wielkiej Encyklopedii Francuskiej. Tworzył także po- wieści, m. in. głośny jest jego „Kubuś fatalista i jego pan”.